

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



WARSZAWA

ROK VI

LIPIEC—1932

Pięcioksiąg Mojżeszowy

Księżda arcyb. Symona z tekstem łacińskim Wulgaty. Cena w oprawie 10 zł. Zamawiać: Wydawnictwo KsKs. Pallotyńów Warszawa, Krak. Przedm. 71.

Czy jesteś już członkiem L. O. P. P.? Jeśli nie, to uczynź to natychmiast!

7-my polski półmilioner powietrzny.

O bezpieczeństwie i zdrowotności naszej komunikacji lotniczej najlepiej świadczy fakt, iż piloci, którzy pracują w niej niemal od 10-ciu lat cieszą się jak najlepszym zdrowiem i nie tylko, że nie tracą nic na swej wartości zawodowej, ale przeciwnie, hartując się w codziennych lotach, ustawicznie doskonalią się.

W dniu 6 czerwca 1932 r. jako 7-my z rzędu pilot P. L. L. „LOT” ukończył swoją półmilionową drogę przebyta w powietrzu w służbie komunikacyjno-lotniczej p. Tadeusz Dmoszyński.

Aby zdać sobie sprawę jaką olbrzymią przestrzeń kryje w sobie cyfra 500 000 km., wystarczy przypomnieć, iż obwód kuli ziemskiej wynosi zaledwie 44.000 km., a odległość księżyca od ziemi 384.420 km.

P. Dmoszyński ukończył 500.000 km. swej podobłocznej drogi, prowadząc samolot z Sofji do Bukaresztu, gdzie po przybyciu powitany został przez tamtejszą placówkę P. L. L. „LOT” i władze lotnicze rumuńskie.

Zarząd Stowarzyszenia „NAUKA I PRACA”, niniejszem podaje do wiadomości, że zapisy uczennic do SZKOŁY ZAWODOWEJ na Marymoncie (dawniej Tylżyka 2 — na Potoku) odbywają się codziennie od g. 12—14 przy ul. Nowogrodzkiej 39 m. 5.

Szkła prowadzi dział krawiectwa damskiego, hafty białe i kolorowe i trykotarstwo.

Ceny przystępne, internat na miejscu. Tel. 409-70. Zarząd.

Wkłady oszczędnościowe w PKO. w m-cu maju 1932 r.

W ciągu m-ca maja r. b. P. K. O. wykazuje wzrost wkładów oszczędnościowych i liczby oszczędzających w tej instytucji. Wkłady oszczędnościowe wzrosły w P. K. O. w ciągu miesiąca sprawozdawczego o dalszych 5.235.125 zł. i osiągnęły na dzień 31 maja 1932 r. stan zł. 352.646.024. łącznie zaś z wkładami pochodzącymi z waloryzacji dawnych wkładów markowych zł. 383.281.014.

Jednocześnie ze wzrostem wkładów oszczędnościowych miesiąc maj b. r. wykazuje dalszy przyrost liczby osób oszczędzających w P. K. O. W miesiącu sprawozdawczym wydała P. K. O. 17.999 nowych książeczek oszczędnościowych. Ogólna liczba czynnych książeczek oszczędnościowych P. K. O. na dzień 31 maja 1932 r. wynosiła 798.756 książeczek, łącznie zaś z książeczkami pochodzącymi z waloryzacji dawnych wkładów markowych — 837.449 książeczek.

ZE ŚWIATA RADJA

Latający fortepian nad New-Jorkiem.

Ameryka — kraj nieustającej pracy, złotego cielca, wszelkich możliwości, pomysłów, wynalazków i odkryć w dziedzinie techniki — zadziwiła niedawno 12 000 000 uszu swych własnych obywateli, niełatwo dających się porwać uczuciu zachwytu i podziwu.

Istotą niespodzianki dla wielu było wykonanie zapowiedzi o nadaniu przez 63 radjostacje T-wa Co'umbia Broadcasting-System, koncertu fortepianowego ze studja, którego adresu na ziemi stacja nie mogła podać.

Jakoż w oznaczonym dniu i godzinie, radjostacje C. B. S. zaczęły nadawać pięknie wykonywany koncert fortepianowy. Osobliwa transmisja odbywała się na fali krótkiej. Muzykę słyszano prawie w całych Stanach Zjednoczonych znakomicie, z dużą, a nawet nadzwyczajną czystością.

Dopiero po koncercie wyjaśniono, że jakkolwiek była to muzyka kameralna, nie pochodziła ze studja „ziemskiego”. Oczywiście, Co'umbia System, jako organizacja realna nie trudniąca się robieniem „cudów”, poinformowała, że koncert fortepianowy

był wydarzeniem prawdziwym, choć odegrano go w obłokach i nie na fortepianie a na dwóch naraz pianinach.

„Latającym fortepianem” nazwano koncert dlatego, że wykonany został w studjo samolotu, urządzone w jednej z trzech kabin 20-osobowego transportowca linii regularnej komunikacji lotniczej.

Inicjatorom tej osobiwej transmisji chodziło o przekonanie się, do jakiej doskonałości można dojść w dziedzinie ścisłej izolacji kabin samolotu od huku silników. Podział kabin był następujący: w pierwszej frontowej, najbliższej silników, zainstalowano pokój kontroli, środkową użyto na właściwe studjo, w którym ulokowano na pianinie mikrofony i inne urządzenia, wreszcie trzecią odano podróżnym tego samolotu.

Oba silniki, każdy o mocy 625 KM. mają urządzenia tłumiące, znany wszystkim podróżującym samolotami fenomenalny huk i warkot. Zabezpieczenia przeciwszumne w samolocie radjofonicznym mają wszystkie trzy kabiny. Głównym składnikiem zabezpieczającym są izolacje, stano-

wiące tajemnicę handlowa budowy tych statków powietrznych. Najprawdopodobniej są to takie same urządzenia izolacyjne, które stosuje się w radjowych studjach na ziemi. Trzecim celem demonstracji radjowo-lotniczej, było stwierdzenie praktycznej czystości odbioru krótkofalowego w tym rozmiarze. Dodać jeszcze należy, że kadłub tego specjalnego samolotu ma 57 stóp długości. To sprawiło, że w ostatniej kabine, mieszczącej wygodnie 20 podróżnych huk wielkich 2-ch silników, był prawie całkowicie zneutralizowany. Leciacy mogli swobodnie rozmawiać i bardzo dobrze słyszeli śpiew i słowa speakera.

Tego rodzaju próbe transmisji z latającego studja, przeprowadziła już przed kilku laty, z doskonałym skutkiem, zupełnie niewspółmiernym, bo nie specjalnych środków, radjostacja warszawska. Okazuje się więc, że inicjatywa naszej radjofonji była całkowicie praktyczna i w lepszych warunkach powinna być stanowczo powtórzona, jako ważny krok naprzód w dziedzinie komunikacji lotniczo-radjowej.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł. 700, 1/2 — zł. 380, 1/4 — zł. 200, 1/8 — zł. 120, 1/16 — zł. 70, 1/32 — zł. 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:

ROZCZNIEM:

Polska	zł. 10	Czechosłowacja	kor. cz. 60
Niemcy	R. mk. 8	Ameryka	dolary 2
Francja	frank 35	Inne kraje	fr. szw. 10

PODOBNA prenumerata w Polsce — 5 zł.: KWARTALNA — 2.50 zł. Cena Cena POJEDYŃCZEGO numeru 1 — zł

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.
Telefony Administracji: 240-15 Redakcji 438-18, P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3 — 5 po poł. rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA



MIESIĘCZNIK
ILUSTROWANY

ROK VI. WARSZAWA, LIPIEC 1932



Fot. Emha. 1932.

Ustronie.

L A T O

*Powiało latem przez łąki, przez pole
I przez mą duszę przygnębią bolesem...
Przed słońca żarem bronić trza się chłodem,
W cień więc podążam ponad zimną wodę...*

*Z ziaren nadziei zasianych na wiosnę
Dojrzeła we mnie radość złotokłosa,
I wraz z nią duchem potężnieję, rosnę:
Głową już sięgam w dalekie niebiosa...*

*Na cichem wzgórzu — na miedzy żywota
Siadłem w zadumie, patrzę chciwie w przestrzeń...
Czas wciąż z przeszłości wątku całun mota...
Czoło uznożone chłodzię na wietrze.*

*Wiatr szepce: pokój tobie, cichy człeku!
Na zbiory życia czekają śpichlerze:
W niebiosach zdasz rachunek twego wieku,
Gdy święte zawrzesz z wiecznością przymierzę...*

*Tak rośnie dzieło znojnego żywota,
Daj Bóg zwieńczone bujnym plonem wreszcie...
Nie dziw, dożyneków przychodzi ochota:
Radość rozpięra pierś jak drożdże w cieście.*

*Kiedy dojrzeję i okrzepnę treścią,
Nieście myśli moje, jak ziarno, jak zaczyn,
I rozdawajcie ludziom z dobrą wieścią,
Że każde słowo moje — miłość znaczy.*

Stefan Radost.

KU TREŚCI ŻYCIA

Nie samym chlebem żyje człowiek. O tej prawdzie dowodnie przekonujemy się w chwili, gdy zaczyna brakować chleba, gdy chwieją się wszystkie materialne podstawy bytu. Wobec takiej katastrofy musi się zrodzić w każdej światlejszej czy choćby z chłopska rozsądniejszej głowie przeświadczenie o niewystarczalności zwykłego utylitaryzmu, o potrzebie ponadczasowej afirmacji życia. Nie będzie więc przesadą powiedzieć wbrew utartej formule: „Vivere ergo philosophare“. Tak jest, aby dobrze żyć, należy dobrze myśleć. Kto nie umie dobrze myśleć, zbierać rozumnie doświadczeń, oceniać je trafnie i wysnuwać zdrowych uogólnień — ten nie umie praktycznie żyć. Szkoda tylko, że o tej prawdzie ludzie i narody przeświadczenia się dopiero w obliczu katastrofy, że dopiero „trwoga skierowuje do Boga“.

Jest dziwnym paradoksem dziejów, że dopiero gdy „ma się pod koniec“ jakiemuś światu, na ruinach jakiejś cywilizacji, gdy już zaczyna wśród nich świecić próchno, powstaje niby mityczny kwiat na bagnisku — myśl filozoficzna. Widzimy to wszędzie. W Grecji, w Rzymie (Marek Aurerjusz). W Europie średniowiecznej, na przełomie czasów nowych, znów prądy eschatologiczne i swoisty mistycyzm odrywają człowieka od padła kłeski.

Również i okres upadku politycznego Polski jest rod tym względem charakterystyczny.

Rozum po szkodzie — oto synteza owego budzenia się głębszej myśli, powstającej nad krawędzią upadku kulturalno-społecznego, czy polityczno-gospodarczego.

Gdy wóz cywilizacji leży już w przydrożnym rowie, wówczas zaczynamy spoglądać w gwiazdy i dostrzegamy je, zapewne dlatego, że im głębszą przepaść, tem jaśniej widać gwiazdy.

Polska myśl filozoficzna — rzecz znamienita — wówczas też bujniej rozkwitła, gdy społeczno-polityczny byt narodu został zagrożony, gdy byliśmy w upadku. Pod tym względem byliśmy zawsze Grekami Północy. Tego rodzaju przedśmiertna pobudka do wysiłku myślowego, musiała wycisnąć bardzo swoiste piętno utylitaryzmu „narodowego“ na naszej filozofji w jej ujęciu przez najszerszą opinię. Zbyt już trywialnie szukaliśmy w filozofji narodowej jakiegoś panaceum dla ratowania się z politycznego czy kulturalnego bankructwa. To też zbyt już łatwemi karmiliśmy się rozwiązaniami filozoficznymi. Nasz stosunek do tej myśli był kabalistyczny, oczekiwaliśmy od niej jakiegoś magicznego zaklęcia, zdolnego odrobić za nas wszystkie poprzednie straty i przegrane. Coś niby eliksir Fausta „pociągnąć hausta“ — jak pisał Słowacki — i z trupa skoczyć na równe nogi, z holysza przemienić się w bohatera.

To też przeciętna opinia publiczna w pismach swych wieszczów najchętniej doszukiwała się jakiejś łatwej, zrozumiałej formuły, któraby wszystko czyniła prostem, usprawiedliwionem i szybko osiągalnem. Naród polski, który w życiu rycerskiem, nie zdołał wyrobić sobie — jak skarżył się Sienkiewicz — miękkości romantycznej, ogromnie szybko stracił jakoś swój wigor i stał się modelem dla fredrowskiego „gwałtu co się dzieje“. Ba-

bieliśmy z dnia na dzień, jeśli nie wszyscy, to jednak w znacznej większości.

A potem zaczęliśmy odprawiać narodowe gorzkie żale. Skoro bowiem już Skarga zapowiadał nasz upadek, to jekżeż mieliśmy nie upaść, a skoro jesteśmy Chrystusem narodów, więc trzeciego dnia zmartwychwstaniemy bez żadnej fatygi. Chwilowo zaś należy leżeć cicho w grobie i dla niepoznaki obsiać go pszenicą i burakami.

Pisząc to, jestem daleki od potępienia hasła „pracy organicznej“, rzuconego przez pozytywistów polskich, od insynuowania im zdrady narodowej, aby na to miejsce wychwalać wallenrodyzm, ubrany w rękawice konspiracji, pod któremi niewiadomo czy kryją się czyste ręce. Zarówno Gustaw jak i Konrad mogli się stać i w końcu stali pozą kabotyństwa i bałamuctwa narodowego.

Z drugiej jednak strony obok niezdrowej megalomanji almanzorizmu, było także bezmyślnem tumanieniem się przymierzanie mickiewiczowskiego 44 do każdej postaci dziejowej, oczekiwanie jakiegoś Tezeusza, któryby wywiódł nas za rączkę z labiryntu narodowego niedołęstwa. Nasze prywatne podwórka były śmietnikami, lecz oczekiwaliśmy, że jakiś Naponjon zrobi nam Polskę mocarstwową.

Bluffem więc było wypisywanie, że „będzie Polska w imię Pana“, skoro Polacy każdy z osobna nie był w imię Pana.

Kramarską łatwizną było mniemanie, że z obsianego pszenicą, „dla wzmocnienia narodowych sił gospodarczych“, grobu niewoli politycznej, wstanie Polska „piękna i wspaniała“, kiedy serce niejednego Polaka było prawdziwym jej grobem.

A jednak wstała!..

Wstała, ale nie przez 44, ani przez handlarstwo polaniecczyzny, ani przez mistyczny racjonalizm Woronczów, ani patriotyczny, konradowy romantyzm, ani romantyczny pozytywizm organiczników.

To były różne haselka, różne tanie etykiety, pozdejmowane z głębszej treści nauk i działalności naszych myślicieli narodowych, których zawsze traktowaliśmy po kramarsku, biorąc od nich tuzinkowe porte parole dla politykierstwa i faszler okolicznościowych dla kielbasy wyborczej.

Dziś takim płytkim haselkiem okazać się może także idea Polski mocarstwowej, powrót do tradycji Jagiellonów. Pięknie, ale jak to osiągnąć. Skąd się ma wziąć ta „Polska mocarstwowa“ — z pyskowania po wiecach, z odezwy wyborczej? Chyba nie.

Polska odrodzona powstała nie z haselka, nie z literatury lecz „z dni dobrze przeżytych“. Powstała z moralnej przemiany, jaka się dokonała w duszach jej elity i która w drodze organicznego procesu wzmogła życie narodu na wszystkich polach. Konspiracja wallenrodyczna, to była tylko przejściowa nieomal literacka maska — niewola, to była chwila Golgoty i czyśćca, cała liryka patriotyczna — to była tylko pieśń bojowa, pszenica i buraki pozytywistyczne — to był humus; treść życia narodu, to, co nas znowu pasowało na rycerzy, było głębiej, rodziło się w trzewiach duszy narodu,



W promieniach letniego słońca.

w jego poczuciu moralnej godności, w jego zmartwychwstającym człowieczeństwie. Każdy naprawdę rzetelny i świadomy Polak nie do Napoleona I czy III przy mierzał mickiewiczowskie 44, lecz do siebie. I dlatego coraz więcej obywateli z ducha, nie z paszportu szło pod sztandary powstańcze, a potem na Sybir, dlatego tak wielu pracowało wysłnie na wszystkich polach, tępiąc perz lojalnej rezygnacji.

I dlatego zwyciężyliśmy własną mocą, a nie z woli obcej czy łaski traktatów.

Podobnie i dziś wzrastanie Polski mocarstwowej też nie da się stwierdzić ani wykukać żadnym nowym traktatem wersalskim, ani żadnym frazesem patriotycznym czy filozoficznym, jeżeli pierwiej nie wzrośnie ona w piersiach, w sercu i w rozumie jej obywateli, tak, by wyraziła się czynem zbiorowym, by jak ziarno zakiełkowała, wzrosła, wzmocniła się drzewem dobrze zorganizowanej państwowości, zakwitła i wydała owoce świadomości narodowej. Dopiero w koronie wielkiego, wyniosłego dębu, obsypanego milionami zieleniejących gałązek szumieć mogą wichry dziejowych potęg i kosmicznych przeznaczeń. Byle frazes patriotyczny zdmuchnie z naiwnych ust szyderstwo wroga; byle trawę, choćby pszeniczną, strątuje zawsze kopyto Atylli z Berlina czy z Moskwy...

Inna jest rzecz, że z pszenicy bierze się smaczny chleb, że jest niemałą pokusą jego widok i niemałą ofiarą wyrzeczenie się, chwilowe choćby, jego cząstki dla rzeczy wyższej wartości. Ludzie płytkcy zawsze bronią za wszelką cenę swego prawa do chleba, bronią nieraz tak zajadłe, że wśród walki koryto zostaje wywrócone i trzeba jądo wygrzebywać z mierzwy. Dziś właśnie na świecie toczy się zajadła walka o byt materialny:

Silniejsi ekonomicznie odpychają słabszych, z których powstała wielomilionowa armia bezrobotnych. Przy korycie utrzymują się wybrani w stylu Kreugera, czy choćby Kwinty. I to się też kończy.

Świat pędzi naoslep ku przepaści katastrofy ekonomicznej i przewrotu społecznego, gdyż brak mu rzetelnej idei kierowniczej. Ta fala kryzysu ogarnęła również i Polskę i przed nami też stoi poważne zagadnienie zbliżających się zmian społeczno-gospodarczych, które trzeba nie pięścią a myślą rozumną załatwić.

Polska, której los był dowodem, że krzywda polityczna innych nie jest podwaliną niczyjej pomyślności, winna rzucić myśl, że także krzywda społeczna nie jest fundamentem dobrobytu i szczęścia i winna pierwsza podjąć dzieło reform społecznych, mających na oku potrzeby wszystkich. Lecz to rozwiązanie obecnych trudności nie wyniknie z jakiegoś haselka, czy choćby jakiejś teorii ekonomicznej podziału dóbr, z nowego sposobu uprawy roli, lecz z lepszej uprawy dusz, roli serc, z wytrzebiecia nienawiści czy choćby egoizmu, który na cudzych a nawet własnych grobach chce siać pszenicę. Żaden „rząd“ Polski nie naprawi, jeśli nie naprawimy serc własnych.

Nie samym chlebem człowiek żyje. Tak jest. Żyjemy przedewszystkiem miłością chrześcijańską i solidarnością braterską i gdy jej zabraknie, najbujniejsza nawet pszenica będzie zatruta odorem trupa i, miast karmić, będzie zabijać.

A ludzkość chce żyć, rozwijać się, potężnieć, nie tylko chce, ale i może, trzeba jedynie, by sięgnęła do głębszych wartości.

J. St. Czarnecki.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

KROPLA MIODU.

Rzeczy gorzkich nie brak na świecie — mamy jednak i miody! Gdy wzorzysty płaszcz kwiatów okryje ziemię, w każdym, nawet najmniejszym jego kielichu spoczywa bodaj drobniuchna kropla miodu.

Tak jest w królestwie roślin, tak bywa i między ludźmi.

Zwykle goryczą napawa człowieka codzienność, ta bezbarwna i bezwonna łodyga. Dopiero rozkwit ducha, kwiat serca, podaje mu miody.

Warto wiedzieć o tem — dla siebie i bliźnich. Ile razy z duszy naszej sączy się żółć i gorycz, ile kroć otoczeniu, które z nami się styka, cierpną zęby, znak to, że nie zakwita dusza nasza. Ledwo zdobyła się na niedorozwinięty produkt... gorzkiego liścia... A przeciwnie, im więcej słodyczy z siebie wydziela, tem więcej obsypana bukietami, girlandami kwieciami...

Takim kielichem kwiatu, w który rozchyła się dusza nasza i podaje w nim drogocenną kroplę miodu — jest dobre słowo...

Dobre słowo o bliźnich. —

Mówimy bardzo wiele i rozmawiamy o bliźnich, ale rzecz dziwna! Rzadko potracamy o zalety ich charakteru. Najczęściej interesują nas ich błędy, niedociągnięcia, braki życiowe... I wygląda to tak, jakby w naszym otoczeniu nie było wogóle ludzi, posiadających jakie takie dobre strony i zalety umysłu, czy serca. Albo też, jakbyśmy nie mieli wcale zmysłu, by dostrzec w bliźnich naszych dobro, szlachetność, prawość, cnotę. Choćby tylko w drobnej mierze, w załączkowem niejako stadium, ale zawsze — dobro...

Popełniamy w ten sposób dwie zasadnicze omyłki. Najpierw sądzimy i mylnie sądzimy, że na czarnem tle błędów i grzechów bliźniego tem jaśniej zarysuj się nasza własna cnota — tymczasem zwykły skutek ujemnych sądów o bliźnich naszych opiewa: „Lekarzu, ulecz siebie samego! Widzisz źdźbło w oku brata swego, a tramu w oku własnem nie spostrzegasz“! I zamiast mocną linią podkreślić *nasze dobro*, podkreślamy tylko naszą złą cechę charakteru, jeszcze jedną więcej... Nie jesteśmy wrażliwi na dobro *poza nami*...

Druga omyłka polega na tem, że wytykając zło drugim, spodziewamy się oddziaływać na nich dodatnio i wpłynąć na ich poprawę. Tymczasem i tu się bardzo mylimy. Wytykanie błędów cudzych, gderanie wieczne na ich usterki, czy grzechy, możnaby porównać np. do pracy przewracania zgnilizny na tem samem miejscu. Raz, drugi, trzeci, dziesiąty... Nietylko zgniłej substancji to nie zaszkodzi, nie usunie, lecz owszem przeciwnie rozszerzy naokoło zgniły jej odór. Jak w każdej dziedzinie materialnej, tak i w dziedzinie ducha, silniejsze upada, gdy zostanie zaatakowane przez silniejsze dobro. Czarnej farby nie zamalujemy drugą jeszcze czarniejszą, tylko wielką ilością nałożonej na nią farby białej...

Pamiętać o tem trzeba zwłaszcza w zakresie wychowania młodych dusz i charakterów, czy to na łonie rodziny, czy poza nią. Tu się sprawdza przedewszystkiem powiedzenie św. Franciszka Salezego, że więcej much złapiemy na jedną kroplę miodu, niż na całą, ogromną beczkę octu...

W pewnym zakładzie wychowawczym przełożeni nie mogli sobie dać rady z jednym chłopcem. Charakter uparty i przekorny, jak rzadko. Nauki, upomnienia, kary, nie odnosiły żadnego skutku. Wpływ dobrych kolegów nic również nie znaczył, bo on umiał się odgrodzić od dobrych wpływów i, zdawało się, szukał swej chwały tam, gdzie zaczynało się zło... Rektor zakładu nie wiedział już, co robić... Aż tu raz werbowano po klasach chłopców celem skompletowania orkiestry. Naszemu bohaterowi dostała się trąba... Była to w jego życiu zbawcza „kropla miodu“. Chłopiec z takim zapalem zabrał się do ćwiczeń gry na trąbie, tak się w tem rozmiłował, że za cenę „trąby“ można było u niego wszystko wytargować. Ustały same przez się wybryki i niebezpieczne, złośliwe „figle“, jakimi przedtem zamęczał otoczenie, zbudziła się chęć do pracy, pragnienie odznaczenia się, zostania „czemś“ w społeczeństwie. I powoli wyszedł na człowieka. Sam zrozumiał wtedy bolesne troski wychowawców, ocenił przykrości, jakie im sprawiał i niebezpieczeństwo wypaczenia charakteru, jakie mu groziło. Ile razy mówił o przeszłości, wspominał żartobliwie, że uratowała go orkiestra i trąba..

W innym zakładzie poprawczym dla chłopców nastal nowy przełożony. Przedstawiono mu jednego z nich, jako nalógowego złodzieja, przed którym wszystko trzeba stale na klucz zamykać. Kradnie, co tylko może i z domu wynosi, a przyłapać go niezmiernie trudno. Taki talent złodziejski. Co tu robić... Nowy przełożony postanowił uciec się do radykalnego środka. Zaryzykował użycie... mądrej „kropli miodu“... Któregoś dnia kazał do siebie zawołać wychowanka.

— Mój drogi — rzecze do niego — mam tu bardzo ważny przekaz pieniężny, który natychmiast trzeba nadać na pocztę, a nie mam nikogo odpowiedniego pod ręką, żeby mi to załatwił. Bo takiej dużej sumy pieniężnej nie każdemu można powierzyć. Czy zechcesz mi oddać tę usługę? —

Na te słowa chłopiec zdębiał. Przyzwyczajony był do zgoła innego traktowania swej osoby. Stale słyszał dokoła siebie epitety: „złodziej, bandyta, z pod ciemnej gwiazdy“... Tu poraz pierwszy w życiu okazują mu pełne zaufanie. Zarumieniony od wewnętrznej radości i dumy, przyjął zlecenie pieniężne, wykonał jako najsumienniejszy i od tej chwili „złodziej“ znikł z zakładu. Chłopiec stał się wzorowym wychowankiem.





Projekty Dunikowskiego dla przyozdobienia Wawelu, znane pod nazwą „głów wawelskich”.

E. R. ZALESKA.

POWIEW OD MORZA...

UKOJENIE.

Zdaleka szumi wielkie morze,
Tu zcicha pluszczą fale,
W błękitach złote słońce gorze,
Co spała smutki, żale.

Nad mną w liściach wiatr szeleszcze
I z morzem cicho gada,
Wodę przechodzą lekkie dres cze,
A dusza w sen zapada...

W jakiś sen słodki niepamięci,
W szum fali zastuchana
I dolą złą już się nie smęci,
Bo słońcem, morzem pijana.

I wolna w leżą dusza runie,
Przestaje ból pamiętać,
A morze mówi, szepcze, szumi,
Aż zdola myśli spętać.

I z duszą cud uczyni moją
Na krótką chwilę snienia —
Fale kotyszą, głuszą, koją...
Nie pomnę krzywd istnienia.

TEŚKNOTA MORZA.

Szarozielone, morskie wody
Tajemna siła wciąż przed się gna,
Mijają wieki, ludy, grody...
One nad głębią płyną bez dna.
I jakąś wielką pieśń wszechświata
Śpiewają temu, co głos ich zna,
Mijają dni, miesiące i la'a —
A wieczna tęsknota w ich głosie łąka.

GDYNIA.

„Pod lipami”, na górze, pokoik mój,
Z widokiem na port i morze,
Zalewał je nocy miesięcznych zdrój
I słońce wstających zorze,
Do snu słodkiego kotysał szum
O brzeg bijącej fali,
A głosy syreny budziły z dum,
Z morza idące — z dali....

FALE SREBRNOGRZYWE.

Idą fale srebrnogrzywe,
U mych stóp się łamią,
Takie czy te, jasne, żywe,
Głębią swą wzrok mamią.

Idą srebrnogrzywe fale
Potężnymi wały,
W błękitnawym, modre dale,
Które ukochały.

Fale srebrnogrzywe idą,
U mych stóp konają,
Pod błękitnych nieb eg'dą
Idą — prz mijają.....

POŻEGNANIE MORZA.

Błękitna mgła zasnęła
Horyzont woalem. — Jes eń!...
Wciąż w duszy myśl się tuła:
Jutro już pierwszy wrzesień.
I jutro jechać trzeba,
Choć se ce mi się krzawi,
Pod dżdżyste znówu nieba,
Ze smutkiem, do mnie trawi.

FORTEPIAN CHÓPIN'A

(Cieniom Genjusza)

Widzę Twą postać przy fortepianie,
Jak cień, jasnością wielką owiany.
I serca Twego płomienną różę.
I nad Twą głową natchnienia burzę.
Widzę wysmukłe i blade ręce,
W twórczości słodkiej napięte ręce —
Kiedy w ekstazie dusza Twa śpiewa,
Skarby uczucia w tony wylewa.
Lub też zamiera w bezdna rozpaczy,
I nad niedolą ludzkości płacze;
Wreszcie w miłości wielkiej zachwycie
Przebacza wszystko, utwierdza życie.
Twego genjuszu głos słyszę, słyszę,
Patrząc na żółtkle blade klawisze...
Zofja Jabłońska.

LAS WIECZOREM

Jakby ktoś w gąszczach leśnych cicho
[gwarzył,
Takie z ich głębin wypłynęły tony,
Jakby się modlił — trochę przekomarzał,
Lub się pokornie żalił zasmucony....

Zda się wirtuoz klawiaturę pieści,
Tak na listeczkach zefir igra „largo”,
A gra przedziwna tyle uczuć mieści,
Co mistrza nokturn przepojony skargą..

Sieczy subtelnie, dotyka zestrożna,
A pianissimo... ledwie słyszeć można!

Jęk się poderwał w zapadłej ustroni:
Może się krzywdą dzieje niska... licha.
Komuś, kto nawet nie umie się bronić!
A teraz ciszą świętą las oddycha! ...

Marja Ring.

OD KOLONJI DO KRAINY BASKÓW

Paryż, Lisieux, zamki nad Loire'ą wybrzeże Atlantyku, Lourdes wykrzesaly latem całą gamę przeróżnych wrażeń, spostrzeżeń i refleksyj, które powoli przetrwione i rozsegregowane dają dopiero teraz rezultat pozytywny w formie określonej postawy wobec przeżytych

momentów i widzianych ludzi i rzeczy. O wystawie pisano wiele. Kłam zadała słynnym strofom Heine'go, który ubolewał nad losem smukłej sosny, tęskniącej nadaremnie do szerokolistnej palmy. W lasku Vincennes, będącym terenem wystawowym, drzewo daktylowe pieści zwiewnym liściem twarde igły świerczyny, flora tropikalna zawiera braterstwo z północną roślinnością, tak jak zetknęły się budowle najróżnorodniejszych stref, stylów i przeznaczeń. Jezioro Daumesnil, młodszy braciszek Tchad'u odbija w swych wodach budyjskie świątynie, domostwa z afrykańskiego ładu z którym sąsiadują gospody i restauracje, zachwalające piwo wirtensberskie, kielbaski frankfurckie i wina z Bordeaux lub lotaryńskie lody.

Obok zasadniczych wartości, właściwych tego rodzaju wystawom, miała wystawa kolonialna jeszcze swoistą a oryginalną fizjonomję wielkiej wszechświatowej budy jarmarcznej, w której spotykały się wyroby Wschodu i Zachodu, hyperkultury i barbarzyństwa pod okiem różnorodnego tłumu z wszystkich części świata i niemniej licznych mieszkańców Paryża i przedmieści, spożywających południowy posiłek w zatłuszczonych papierkach, niczem nasze małomiasteczkowe żydki. Tylko krążące wśród mieszczuchów gąsioriki z winem przypominały, jak to daleko znajdujemy się od letniska w Kaczym Dole czy Brzuchowicach.

Z gwaru i kupieckiej atmosfery wystawy zbaczamy na dzień jeden do Lisieux. Niestety i tu spotykamy tłumy żądne wrażeń. Św. Tereska, za kratą żyjąca karmelitanka, gromadzi w koło swego grobowca pielgrzymów ze świata całego. Nad atmosferą modlitwy przeważa jednak w świątyni rozgwar i ruch. Ciągły przypływ i odpływ petentów o łaski do wrót jej kaplicy uniemożliwia skupienie. Wszystko wokoło wiruje i myśl krąży spłoszona, aż wreszcie koło południa pustoszeje kościół i nastają chwile sposobniejsze do wewnętrznych modlitewnych przeżyć.

Przed klasztorem w wąskiej ulicy także szumiące morze ludzkich głów: to pątnicy tłoczą się u wejścia do sklepików z pamiątkami.



Lourdes.

Widok zamku i rzeka Gawa.

Z radością powitać należy nowopowstającą na uboczu bazylikę św. Tereski na wolnym, szerokim placu. Da ona przestrzeń i powietrze i usunie w dal niezbędne, zda się, kramy i kramiki. Kto chce naprawdę nacieszyć się ciszą i skupieniem pod znakiem św. Tere-

ski, niech idzie niedługim spacerkiem do jej domu rodzinnego, „les Buisonnets“, położonego tuż za miasteczkiem na ustroniu. (I tu jednak dotarł kramik z pamiątkami!). Jasny, cichy domek piętrowy, starannie utrzymany ogródek mile witają przybysza. Nietrudno w tych ramach wskrzesić wyobraźnią postaci córek p. Martin. Młode i promienne, pełne wesela i Bożej radości życia, przesuwają się wśród gaików i ścieżyn ogrodu. Róże św. Tereski tu spływać chyba muszą na przygodnego wędrowca, byle umiał poprosić o nie uprzywilejowanej Świętej. Z tem wrażeniem pogodnej ciszy rozstajemy się z Lisieux.

Następuje zmiana dekoracji. Zielone, falujące wzgórza i urodzajne niwy Touraine niosą nerwom ukojenie po fantastycznych gonitwach dniem i nocą po Paryżu i wystawie. Mijamy okolice rozkoszne, zamki, zamczki. „Szatociki“ (chateauciki), jak powiadają towarzysze podróży, nęcą oczy i zachęcają do odwiedzin. Ale autokar sunie nieprzerwanie, aż nie dowiedzie do celu t. j. do jednego z wielkich zamków nad Loire'ą, świetnego znaczeniem historycznym, wspaniałym położeniem i architektoniczną wartością.

Podziwiamy zamek w Chenonceaux, dziś własność wielkiego fabrykanta czekolady Menier'a, niegdyś widownie uroczych „fête galanter“ za czasów Diany z Poitiers i Katarzyny Medycejskiej. Wspaniałe zamek Chambord wzniesiony przez Franciszka I jest dla nas interesującym także jako miejsce pobytu króla Stanisława Leszczyńskiego między 1725 — 1733 rokiem.

Zamek w Langeais otoczony domostwami i położony w środku miasteczka wyróżnia się od innych starannie odrestaurowanem wnętrzem, dającym obraz umebłowania, życia i wygód w XV wieku. Nie na wszystko zgodzilibyśmy się dzisiaj, miednicze srebrne wielkości salaterek, brak bieżącej wody zimnej i ciepłej wskazują na uproszczenie potrzeb najpierwotniejszej higieny w owych czasach wszechwładnej kosmetyki. Nad Arnem, w kwiecistej Florencji, zwiedzić można pałac Daranzati, cały urządzony według wymagań XII wieku, gdzie prymityw jeszcze się silnie zaznacza.

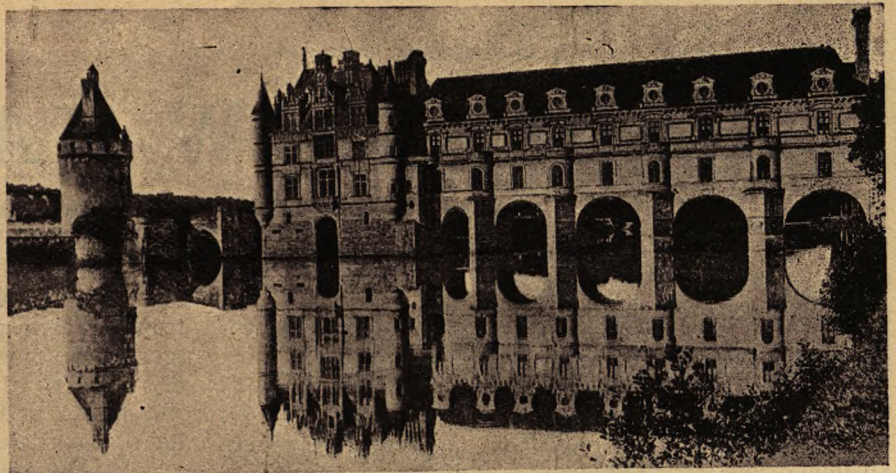
Zameczek Montrésor własność hr Branickich wznosi się pod dopływem Loire'y rzeką Indre. Flankowany pięknymi basztami i wieżycami nie wita podróżnika białą-czerwoną flagą, jak siedziba Paderewskiego w Morges -- a szkoda! Sielankowy nastrój wywołany uroczymi brzegami Loire'y, zamkami i ogrodami, zakładanymi na wzór wersalskich, pierzcha, gdy „rapide“ unosi nas nad wybrzeże Atlantyku. Atlantyk, to dumna carowa mórz! Szafronowa toń morza Śródziemnego, leniwa fala Adryatyku, szare wody morza północnego, ani żółte bałwany Bałtyku nie sprawiają tego wrażenia ogromu i potęgi jakie owłada nami na widok piętrzących się wód Atlantyku, rozbryzgujących białą pianą o skaliste złomy i pieczary wybrzeży. Huczącym grzmiotem przelewa się fala za falą w godzinach przypływu, mięcząc za sobą muszle i różnorodne „frutti di mare“, na które czyhają żądne zabawy dzieci i poważne panny uzbrojone w garnuszki i siatkowe worki.

Plaże w Royau, Pontiliac, Grand Palais o dwie godziny od Bordeaux, to nie Biarritz ani Arcachon, niema tu międzynarodowej elity finansowej — są to raczej week'end'owe plaże przeciętnego paryżanina, który w willach nadmorskich umieszcza żonę i dziecko — lecz rozkosz morskiej kąpeli jest ta sama i ta sama niechęć do... ulewy przy towarzyszącej wichurze. Przytem zany Polexpress karmił nas barszczem małopolskim i kompotem z suszonych śliwek na południu Francji! Dlatego, kto żyw a mógł, uciekł w góry, w Pireneje, do Lourdes, lub na zwiedzenie muzeum.

Muzeum mieści się w zamku obronnym (château-fort) wznoszącym się dumnie niby orle gniazdo na szczycie jednej ze skał okalających Lourdes.

Wzgórza te były ufortyfikowane już za czasów rzymskich. Karol Wielki oblegał fortecę w r. 778, później zdobywał ją Du Gueselin (1374) w XV wieku książę Berry i t. d.

Za Ludwika XV zamieniono fortece na więzienie stanu, coś w rodzaju Bastylji prowincjonalnej, gdzie zamykano wrogów panującego „régim'u“, skompromitowanych synów wielkich rodów i t. d.



Zamek.

W r. 1894 nabyło miasto zamek od Rządu a w 1920 odstąpiło je Touring Clubowi francuskiemu na muzeum pirenejskie.

Muzeum obejmuje sale rzeźb i malarstwo, pamiątki po sławnych badaczach Pirenejów Ramondzie i Russel'u, salę sportów zimowych, sztychy, a przede wszystkim zbiory folklorystyczne, bogate w zanikające stroje narodowe, sprzęty do codziennego użytku, meble i naczynia. Dostęp do wysoko na skale zawieszono muzeum ułatwia winda, co 15 minut zwożą turystów do zamku. U wejścia nieodłączny od wszelkiej imprezy dochodowej sklepik z widokówkami, za ladą uprzejma, jak na francuskie stosunki, dama, pouczająca, w jakiej kolejności zwiedzać muzeum, którego salki, rozrzucone po całym zabudowaniu, łączą się krętymi korytarzami, stromymi schodami pełnymi przepaścistych wnęków i innych niespodzianek. Wszystko to nadaje zwiedzaniu charakter karkołomnej, średniowiecznej wyprawy, szczególnie, że co krok napotyka się na okazy architektury wojskowej z różnych epok a więc mosty zwodzone, budki szyldwachów, wieżycy z blankami, schody kręcone koło jednej podstawy, (escalier á vis) strzelnice, lochy i inne.

Na fortach ustawione są domki baskijskie, chaty górali z Bearnu i Bigorry, ziem leżących na granicy Hiszpanji.

Sliczne są wnętrza domostw. Kucharki, tkalnie, izby z rozlicznym sprzętem gospodarskim, naczyniami kuchennymi, gąsiorami przeróżnych kształtów, tłuczkami, chodakami itd. Niektóre salki podają momenty z życia Basków, jako to walkę z niedźwiedziem, (człowiek i zwierzę wielkości naturalnej), pochód na jarmark w typowych strojach baskijskich z nieodłącznym dosadnie objuczonym osiołkiem. Przepyszne są kwefy wieśniaczek z okolic Barège lub Bigorre. Gorący koloryt Hiszpanji, pewna ociężałość form przy zalotności spojrzeń i gestu przenoszą nas z Lourdes w krainę walki byków, Don Kiszotów i ekstatycznych świętych, krainę pełną ponęt dla turysty, którego jednak ciężka konjunktura zmusiła do powrotu w rodzinne zakamarki.

Celina Stońska.



Typy z Pirenejów.

DON JOSE ST. NOARRO.

ZARĘCZYNINY W KAJDANACH

Z CYKLU „GOŁĘBICA I JASTRZĘBIE“.

W tej chwili od strony morza dał się słyszeć warkot motoru.

— Oto mój przyjaciel śpieszy z pomocą — zawołał hrabia. Nareszcie będzie kres tej przygodzie.

— Już ma pan tego dość, — wtrąciła Anna — i bacznie spozjrzała na postać swego towarzysza. — No tak, wygląda pan nieco żałośnie. W tym zmoczonym kostjumie nie jest przyjemnie i zdrowo.

— Mniejsza o mnie, mam żelazne zdrowie, ale myślę, że i pani nie czuje się najlepiej.

— Pan zawsze tylko myśli o innych. Co za altruizm?

— Zawsze tylko myślę o pani...

W tej chwili do brzegu dobiła łódź. Hrabia skierował się ku niej, chcąc Dżemsa uprzedzić o ostatnich wypadkach.

— Anna nie poznała mię. Niech więc pan nazywa mię krótko doktorem Zeve.

— Dobrze. Myślę jednak, że, co do mnie, nie trudno jej przyjdzie zorientować się.

— Nic już na to nie poradzi. Nie mogę przefasować panu twarzy. Zresztą obecnie Amalvi z rezygnacją przyjmie każdy swój los. Przegrała — jak powiada — największy swój akt.

— Co takiego?

— Niemieccy wywiadowcy ograbili ją z cennych dokumentów i rzucili na pastwę losu.

— A lotry — oburzył się Dżems. Jednak to było do przewidzenia. Będziemy musieli dopomóc Amalvi w jego odszukaniu.

— To ładnie z pańskiej strony.

— To mój obowiązek!

Tak rozmawiając, podeszli do hrabiny.

— Oto mój przyjaciel Dżems Hollivay — zaprezentował hrabia.

— Widzę to sama — rzekła niechętnie Anna. — Miałam odrazu złe przeczucie co do wartości pana i jego przyjaciela, ale cóż robić. Mam teraz baisse życiową. To też wrogowie mnie lekceważą i ofiarowują nawet swą przyjaźń. — uśmiechnęła się niedbale.

— Zupełnie szczerze, szanowna pani.

— Dziękuję i za to.

— Proszę nam wierzyć. Nie będę ukrywał, że wraz z dr. Zeve puściliśmy się w pogoń za panią, lecz wobec smutnej przygody, która panią spotkała, gotowaliśmy udzielić jej pomocy.

— I osadzić mię na rekolekcje w Tower. Czyż pani swą powinność w imieniu jego królewskiej mości — zwróciła się Amalvi do Dżemsa.

— Pani się myli. Owszem zaofiaruję pani odpoczynek, ale w prywatnej willi mego wuja. A za parę dni puścimy się w pogoń za jej prześladowcami, by powetować straty, które pani poniosła.

— Bardzo to ponętne, ale niepraktyczne: pościg musimy rozpocząć natychmiast, jeśli ma co z tego być.

— Pani w gorącej wodzie kapana — rzekł Dżems.

— Pan się myli. W zimnej, tylko za wcześnie mnie panowie wyciągnęliście z tej kąpieli i dlatego ten trup — zrobiła gest ręką wzdłuż swej postaci — ma jeszcze tyle żywotności. Dość wiele już zmarnowałam życia i teraz, gdy byłam nieomal u szczytu, trudno mi jest nawet przez godzinę spokojnie myśleć o tem, że mnie zepchnięto na samo dno.

— Pani ma rację! — dorzucił Zawucki. I nic nam, Kochany Dżemsie, nie pozostaje, jak poddać się jej woli.

— Skoro tego doktor chce, ja nie mam nic przeciw temu. W każdym bądź razie musimy stąd się zabrać, bo to odludzie nie nadaje się do najbardziej nawet przyjaznych pogawędek.

Nasze towarzystwo wsiadło do łodzi, która pomknęła morzem, pozostawiając za sobą wspaniałą pióropusz piany.

Ustalono następujący plan podróży. Wszyscy udadzą się do Hamburga samolotem, a stamtąd koleją do Berlina. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że zagrabione papiery Amalvi będą pośpiesznie dostarczone na Wilhelmstrasse.

Chodziło o to, by wczas zjawić się na miejscu. Dla ostrożności postanowiono podróż przez Niemcy odbyć oddzielnie. W Berlinie dopiero mieli się porozumiewać w sposób, który ustalili Dżems. Amalvi — przyjmowała te wszystkie plany z dziwną obojętnością.

— Przyjmuję panów współpracę pod warunkiem, że to w niczem nie naruszy mego celu. Pozwalam na sfotografowanie dokumentu. Oryginał jest mi potrzebny, za jego cenę muszę uwolnić mego ojca. Gdy będzie on zupełnie bezpieczny, mogą panowie skorzystać ze swej zdobyczy i opublikować dokument.

Dżems protestował, lecz Zawucki zgodził się na te warunki.

— Bez nas pani nic nie uzyska! — wołał Dżems.

— Beze mnie panowie wogóle o niczemby nie wiedzieli — oburzyła się Anna.

— Pani ma rację — łagodził spór hrabia — W każdym bądź razie nasze współdziałanie jest koniecznością.

— Doktor mówi jak zakochany — zaperzył się detektyw.

Anna spojrzała uważnie na obu i zamilkła. Błady rumieniec zakwitł na jej twarzy.

Zbliżał się kres lotu.

Nasi znajomi siedli na uboczu wielkiej kabiny pasażerskiej, mogącej pomieścić 15 osób.

Od dłuższego czasu panowało milczenie, które szczególnie ciążyło Annie. Wpatrywała się ona badawczo w swych współtowarzyszy, zastanawiających się nad dziwną koleją losów i myśląc z niepokojem o przyszłości.

Czuła się niepewnie i doprawdy najchętniej zrezygnowałaby ze wszystkiego, nie wyłączając życia. Była upokorzona podwójnie, najpierw porażką doznaną ze strony niemieckiego wywiadu a następnie koniecz-

nością skorzystania z pomocy Dżemsa, z którym miała do wyrównania tak świeży i przykry porachunek.

Jego towarzysz, którego brawurze coprawda zawdzięczała życie, nie budził też w niej zaufania. Miała wrażenie, że twarz tę gdzieś już widziała, a to wcale jej nie pocieszało, przeciwnie napełniało lękiem i złymi przecuciami. Wzrok zaś młodego człowieka, pełen czułości, irytował ją raczej, przypominając jej bezradność.

Chcąc przerwać dłużące się milczenie, rzuciła pytanie:

— Jaki panowie mają plan działania?

— Najlepszy plan, to nie mieć planu. Niema w życiu sytuacji, któraby ściśle odpowiadała naszym założeniom — odparł Dżems.

— Jednak jakieś wytyczne postępowania trzeba mieć! — rzucił hrabia, wyrwany z pewnego rozmarzenia, w jakie wprawiła go obecność Anny, okupiona bądź co bądź nie małym z jego strony wysiłkiem. Rola bohatera rozmarza.

— Co innego wytyczne! — zgodził się Dżems. Lecz i tu wszystko zależy od dalszego toku rzeczy. Winniśmy zdać sobie sprawę z obecnej sytuacji. Mojem zdaniem wywiad niemiecki zdobywszy raz swój skarb będzie go bronił wszelkimi siłami. I tu jest szereg możliwości. Albo więc powiedzie mu się ta obrona, a wówczas myśmy przegrali, albo naodwrot.

Sądę, że wszystko jest obecnie nastawione, żeby przeszkodzić odzyskaniu przez panią skradzionego jej dokumentu. Należy się zwłaszcza zastanowić nad sposobem jego doręczenia do centrali wywiadu niemieckiego. Wykluczam możliwość natychmiastowego zniszczenia dokumentu. Co pani o tem myśli?

— Zgadzam się z pana zdaniem, ponieważ tym, którzy ukradli mi tękę trudno będzie zorjentować w jej zawartości, a niewątpliwie nie sposób rozpoznać wspomnianego dokumentu. — Jest on zbyt zręcznie ukryty — przekazała więc wszystko centrali. Pozatem teka moja posiada jeszcze jedną cenną rzecz: zbiór różnych fotografii zwłaszcza osób, z którymi kiedykolwiek miałam do czynienia, a które mogą mieć coś wspólnego z wywiadem międzynarodowym.

— Czy i ja mam tam swoje miejsce? — uśmiechnęła się Dżems.

— Niewątpliwie! — odparła Anna. Każdy, kogo miałam kiedykolwiek na oku.

Hrabia, który zapadł znów w milczenie — zachnął się.

Spostrzegła to Anna.

— Co pana tak obeszło? Przecież pan z tem wszystkim nie ma chyba nic wspólnego?

— Ta informacja ma dla nas pewne znaczenie. Pani kolekcja fotografii jest bardzo niebezpiecznym nabojem i może nam pokrzyżować plany. Ciekaw jestem jednak — jak pani zdobyła np. moją fotografię.

— W sposób bardzo prosty — śmiała się Anna — kazałam pana zdjąć w czasie jego wizyty u siebie.

— W salonie było przecież zupełnie ciemno!

— To bagatela. Rozporządzam już aparatem, którym można dokonywać zdjęć w zupełnej ciemności, a cóż dopiero w dyskretnie oświetlonym salonie. Pan zresztą był tak uprzejmy, że upozował mi się, a właściwie memu lokajowi w sposób nienaganny. Zdjęcie świetnie się udało.

— To mnie w tej chwili nie pociesza.

— Przypuszczam — dorzuciła Anna. Jakkolwiek mój album, zawierający parę tysięcy zdjęć, nie jest większy od papierośnicy. Każda główka ma wymiar 3 na 5 milimetrów.

— Pani nas coraz bardziej zdumiewa — rzekł Zawucki.

— Cała zasługa po stronie obecnego postępu fotografii — rzekła filuternie Amalvi.

— Mniejsza z temi fotografiami. Lepiej niech mi pani powie, w jaki sposób ukryła pani swój dokument.

— O, to moja tajemnica.

— Słusznie, ale zechce pani zauważyć, że bez naszej pomocy nic pani nie wskóra. Trudno zaś liczyć, by odrazu cała teka wpadła i to wprost w ręce pani. Musi więc nam pani wskazać, w czym się zawiera dokument.

— Pan ma zawsze rację. Cóż mam robić? Otóż w tece znajduje się kilka pustych kaset do klisz. Jedna z nich ma podwójne ścianki, między którymi zalutowany jest dokument.

— Pomysłowe! — powiedział Dżems.

— Górę złota za dobry pomysł odzyskania ich z powrotem — zaśmiała się nerwowo Anna.

— Postaramy się załatwić to tańszym kosztem.

Tymczasem aeroplan już lądował. Nasze towarzystwo wysiadło i po załatwieniu formalności — paszporty były bez zarzutu, choć na fałszywe nazwiska — udali się na pociąg berliński. Anna i hrabia zajęli oddzielny przedział, Dżems pojechał w innym wagonie.

— Trzeba być na wszystko przygotowanym i niczemu się nie dziwić. Czeka nas niejedna przygoda, a plany zależą od przypadku — rzekł na pożegnanie.

— Pan jest niezłomnym czcicielem przypadku — rzekła Anna.

— Cóż robić? Przyzna pani, że ostatecznie przypadek nas zetknął i rozłączenie — będzie też jego dziełem. Wolno mi przypuszczać, że nawet pani na to liczy.

Anna milczała. Hrabia miał trochę zakłopotaną minę. Nonszalancja Anglika nieco go żenowała.

Rozstali się, umówiwszy jeszcze sposób komunikowania w Berlinie. Zapadała noc, którą trzeba było przespać. Po poprzednich trudach przyszedł sen zupełnie łatwo.

Nad ranem pociąg zbliżył się do Berlina.

Zawucki obudził Annę i zaproponował, by wysiedli na jednym z podmiejskich przystanków a do miasta dojechali autem. — Ostrożność nie zawadzi.

Po chwili taksówka wiozła ich do centrum miasta, gdzie mieli się zatrzymać w jednym z lepszych hoteli.

Kiedy już znaleźli się w hotelu, podeszło niespodziewanie dwóch panów.

— Hrabina Amalvi?

Anna próbowała przeczyć.

Spojrzeli na fotografię, którą mieli w ręku.

— Richtig! a to hrabia Zawucki? — Aresztujemy państwo.

Annę jakby piorun poraził. Nazwisko jej towarzysza, choć zniekształcone w ustach berlińczyka, otworzyło jej nagle całą perspektywę wspomnień. — Ach, więc to on, wzgardzony, odrzucony, a jednak wiecznie ją prześladowający swą miłością — przemknęła myśl.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

CHINY I CHIŃCZYCY



Jeden z chińskich bożków-demonów przed pagodą.

Wrzenie wojenne, jakie idzie przez chiński Wschód, zwraca ku niemu naszą uwagę.

Pojęcia europejskie tak daleko odchylają się od pojęć Wschodu, że cokolwiek wydaje nam się, że wiemy o Wschodzie, zawsze jeszcze niewiele o nim wiemy.

Przypuszczając, że sprawy chińskie zainteresują naszych Czytelników, podajemy tu charakterystykę ich wodza Sun-Yat-Sena, który odegrał rolę Lenina i Ghandiego w stosunku do swej ojczyzny.

Umarł on na wiosnę 1925 roku, w wieku 60 lat. Wystarczyły mu one zupełnie do przebudzenia z pięciowiekowej drętwoty 300 milionów ludzi,

do obalenia najstarszego z mocarstw świata i rozpętania rewolucji, która choć wszczęta temu dwadzieścia jeden lat, nie wyszła jeszcze ze stanu wrzenia.

„Nie wiem, czy posiadam jakiś majątek, gdyż nabywanie dóbr ziemskich nie wchodziło nigdy w zakres moich zainteresowań. Meją żonę, Song Tsring Ling, zapisuję moje książki, odzież i inne rzeczy do osobistego użytku służące — Tak brzmiał testament Sun-Yat-Sena. W rzeczywistości Song Ling nie odziedziczyła wiele po mężu. Nie przeszkadza to bynajmniej temu, że wdowa po proroku nowoczesnych Chin rozporządza dziś, w siedm lat po śmierci męża mająt-

kiem szacowanym na zgorą 100 milionów złotych. Song Ling, poetycznie zwana „wdową rewolucji”, okazała niemniej wiele sprytu co... pozostali członkowie rodziny Sun-Yat-Sena.

Jeśli Chang-Kai-Chek zajął na lat kilka miejsce zmarłego „proroka”, to nie tyle dzięki swym talentom wojakowym, co okoliczności, że był szwagrem Sun-Yat-Sena, że był jego następcą, jako faktyczny szef rodziny — rodziny, za którą szła osadzona u władzy koterja. W chwili dymisji tego generała, prasa amerykańska notowała, że majątek Chang-Kai-Cheka wynosi 100 milionów dolarów.

Jeśli Chang-Kai-Chek ustąpił wkońcu, to nie była to abdykacja, lecz poprostu zmiana kolei. Władza wydartą przez Sun-Yat-Sena z rąk słabego potomka mandzurskiej najeźdźczej dynastji, przeszła bowiem do Sun-Fo, syna „proroka” z pierwszego małżeństwa. Była to — jak zobaczymy jeszcze — druga część „rodziny”. Sun-Fo był wiele skromniejszym i jego majątek dochodzi do sześciu milionów dolarów.

Drugi ze szwagrów Sun-Yat-Sena, Kung, troszczył się niemal wyłącznie handlem. Jego majątek jest dziś oceniany na cztery do pięciu miliardów franków. Franki nie są dolarami, a miljarde może są tylko setkami milionów. Niemniej są.

Rodzinie swej nie legował Sun-Yat-Sen nic innego prócz paru setek książek, kilku ubrań, niklowego zegarka. I mit równy mitowi Lenina i popularność równą popularności Ghandiego — i nieograniczoną możliwość przemiany owego wschodniego mitu na książeczki czekowe Zachodu.

Gdy na początek naszego wieku spojrzy się z wyżyny 2001 roku, karjera Sun-Yat-Sena będzie taką samą bajką, jak karjera Napoleona dla nas, a Cezara dla współczesnych Tyberjusza. Syn małego krawczyka, emigrant do Honolulu i subiekt, wykształcony przez misjonarzy protestanckich, wysłany do bursy i, zarządca teologii, studjujący medycynę — oto początek. Karjera lekarza, to był środek do celu, sposób zdobycia pieniędzy — by pójść dużo dalej.

Czy Sun-Yat-Sen słyszał kiedy o Montekukulim, wodzu habsburskim, głośniejszym ze swego aforyzmu o wojnie niż ze swych zwycięstw? Może nigdy, ale niemniej przetrwestował ów aforyzm w spostrzeżenie, że ruch rewolucyjny potrzebuje pieniędzy, jesz ze pieniędzy, i po trzeciej pieniądze. Przebiegł Amerykę i An-



Niedźwiedź sowiecki siedzący na linii kolei Mandżurskiej czuje, że tu chodzi o jego skórę.

glję, ściągając grosz do grosza od chińskiego emigranta. A emigrant, to podatny grunt do podobnej kwesty. Następnie Sun-Yat-Sen umiał doskonale pogodzić idee rewolucyjne i sentyment narodowy. Dalej umiał zdobyć poparcie Japonii. Wreszcie był doskonałym dziennikarzem, a jeszcze lepszym redaktorem. W końcu, jak Lenin, jak Mussolini, był uczniem Sorrela. Być może, że każdemu z tych trzech ludzi utkwiło w głowie zdanie:

„Wszelkie wydarzenia historii są zawsze rozpętywane przez silnie zorganizowane mniejszości, a nie przez niepowstrzymany napór mas, o którym bają profesorowie historii”.

Sredniowiecze znało modły odganiające pokusy diabła przedpołudniowego — a demonio meridiano, i uważało południe, godzinę południową, lub w przenośni, zenit życia, za godzinę, gdy przychodzi na człowieka pokusa najcięższa..

Sun-Yat-Sen stał zarazem u zenitu sławy i u schyłku, ledwo rozpoczętego życia. Miał lat 52. Rozwodzi się ze swą pierwszą żoną, z którą żył przykładnie przez lat 32 i żeni się z energiczną, sprytną i mało sympatyczną panią Song-Tsring-Ling, która miała eksploatować po najdłuższym życiu męża jego sławę.

Song-Ling jest twórcą władztwa rodziny „proroka”. Wydaje swą starszą siostrę za najbogatszego bankiera Chin, swego brata powracającego ze studjów na uniwersytetach amerykańskich, wysyła do kariery finansowej, młodszą siostrę wydaje za poganina jeszcze, męża trzech żon, Chang-Kai-Cheka. Tym marjażem wciąga do rodziny popularnego generała. Z ewentualnego konkurenta czyni jednego z partnerów.

Sun-Yat-Sen, zamykając oczy, widział połowę swego dzieła; obalony

słabsi potomkowie zdegenerowanej dynastji, nie potrafił skupić trwale ani jego genjusz, ani nikt po nim. Łatwiej było rozprząć, niż zjednoczyć. Na terenie olbrzymiego mocarstwa żerują bandy wojskowych junt, jego kresy podmywa obca ekspansja. Na sławie Sun-Yat-Sena żerują jego „najbliżsi”.

Na olbrzymie państwo „Smoka” zwrócone są obecnie oczy całego świata, w smutnej dla Chińczyków chwili rozpadania się ich ojczyzny.

Wiele się mówi o wielkości Chin i o liczebności ich mieszkańców, lecz są to tylko przypuszczenia i cyfry przybliżone.

Niektórzy geografowie sądzą, że Chiny wraz z Mandżurją, obecnie od głównego pnia oderwaną, mają przeszło 400 milionów mieszkańców, podczas gdy inni obliczają zaludnienie tego kraju zaledwie na 250 milionów.

Oczywiście nie ma sposobu stwierdzenia, którzy geografowie mają rację. W zapadłe okolice wnętrza Chin dziś jeszcze nie tak łatwo przedostać się cudzoziemcowi, o urzędowym spisie zaś władze chińskie nie myślą, dowodząc, że koszty, wyłożone na przeprowadzenie spisu to pieniądze zmarnowane.

czerep cesarstwa, zmurszałego dlań imperjum, Chiny demokratyczne, Chiny zrewoltowane, zarzucające swój stary ustrój w odmęt komunizmu coraz bardziej i bardziej..

I była druga połowa, której konający Sun-Yat-Sen w pełni nie spostrzegł. Jedność polityczną Chin, którą mogli utrzymać z łatwością naj-

Prawdopodobnie geografowie, skromniej oceniający ludność Chin, bliżsi są prawdy. Cyfry przybliżone, odnoszące się do liczby mieszkańców, najgęściej zaludnionych dzielnic wschodnich, pomnożone przez powierzchnię całego kraju, dają istotnie wyniki astronomiczne. Lecz wnętrze kraju, a szczególnie okolice, przytykające do gór i do pustyń, są dość rzadko zaludnione, co nie jest w dostatecznej mierze wzięte pod uwagę. Wybierając „złoty środek”, najlepiej przyjąć, że Chiny liczą 325 milionów mieszkańców. Oczywiście, że cyfra ta, jak wszelkie inne, odnoszące się do Chin, to tylko przypuszczenie, nie poparte dowodami.

Nie ulega wątpliwości, że niektóre okolice, nader żyzne, we wschodnich Chinach, zamieszkałe są przez 500 do 600 a nawet więcej mieszkańców na kilometr kwadratowy. W okolicach tych ludność uprawia ziemię starannie, zwłaszcza ogrody. Natomiast w głębi kraju są jałowe okolice, gdzie zaledwie kilku mieszkańców na kilometr kwadratowy zajmuje się pasterstwem i myślistwem.



Chinka niesie w koszu swe dzieci.

RODZINA W ŚWIETLE LITERATURY

Jan N. Miller, z którego poglądami nie zawsze oczywiście można się zgodzić, wystąpił w Nr. 5 (r. 1930) „Europy” ze słusznymi zarzutami pod adresem „antyspołecznego charakteru naszej literatury”.

Zawsze wbrew społeczeństwu — „tłumowi” — występuje jakiś samotny bohater, rycerz czy dobroczynny filantrop — Konrad, Piotr Rozłucki, dr. Judym.

Wszystko to są „wrogowie ludu”, których tworzenie stało się manierą Ibsena.

Ten tłum ma być z ich łaski zbawiony, choć ich odrzuca, nierozumie, kamieniuje.

Pisarze polscy — pisze Miller — są już na tyle romantycznie zblazowani i taką mają odrazę i urazę do wszelkiej rzeczywistości, tak że mimo wiekuistego komunaułu patriotycznego, nie mają żadnej łączności ze społeczeństwem. Żyją tylko w imaginacyjnej sferze przeszłości lub przyszłości. W stosunku do aktualnej terażniejszości występują nałogowo w roli piętnujących ją satyryków.

Natomiast bohaterem polskich twórców jest „zamorusany ideowo i pokutujący ofiarnie za wszystkich filantrop”.

Sytuacja ta jest wręcz zawstydzająca. Świadczy o dziwnej ułomności duchowej, braku jakby zmysłu społecznego.

Odważyłbym się na wypowiedzenie sądu, że zadaniem dotychczasowej poezji w Polsce było obnażanie jałowości współczucia we wszelkich konkretnych formach życia zbiorowego. Ośmieszano więc naród jako całość, szlachtę jako stan, Kościół jako instytucję, jednoczącą wszystkich wierzących, *rodzinę — jako komórkę życia zbiorowego*. Ogólnie biorąc, o wiele więcej zrozumienia i wyczucia powagi i wartości życia zbiorowego mieli pisarze konserwatywni, aniżeli t. zw. postępowi, którzy z natury rzeczy, walcząc z rzekomo utartymi kanonami myślenia, anarchizują, przeciwstawiając buntowniczą jednostkę biernemu lub głupiemu ogółowi. Jedyne oparciem jest zawsze jakaś romantyczna, nie dająca się sprawdzić lub urzeczywistnić fikcja, a więc jakiś „Lud”, nie widzą zaś realnej, społeczności twórczej rzeczywistości życia rodzinnego.

Godząc w podstawy życia zbiorowego, pisarze „postępowi” obnażają całą prozę i banalność życia rodzinnego. Zeromski więc Judymowi, wobec rzekomej grozy filisterskiego życia w kole domowym, każe odepchnąć Joasię. Brzozowski — co za smutny to kontrast z jego socjo. ogją — ośmieszają w sposób trywialny przytulność ogniska rodziny Połanieckich, przedstawioną przez Siemkiewicza. Ostrze satyry Boya w „Słówkach” godzi przede wszystkim w rodzinę.

Przeciwstawieniem tego postępowego zakłamania w ujęciu wszelkich form życia zbiorowego, będzie fałszywe wykoślawienie tych więzów przez pisarzy zachowawczych w rodzaju Weyssenhoffa, Perzyńskiego, dla których jedyną racją istnienia tych form powiązania jest ślepa i głucha na głos chwili tradycja.

„Samotniku, błakający się na marginesie życia, rzuć okiem niedyskretne w wieczór zimowy z okien klatki schodowej na warsztat pracy życia rodzinnego

różnych sfer, stanów i zawodów, a może dojrzyś tam jednak coś więcej, niż to się udało dojrzeć Boyowi w „wycieczce zamiejskiej” lub w innych arcydowcipnych, choć zawstydzających w gruncie płytkością sądu obrazkach tego typu, które stały się przecież najpospolitszym tematem brukowej satyry.”

J. N. Miller uważa, że czas, aby literatura wkroczyła na inne tory, tory naprawdę służby społecznej, piewczynie piękna ogniska domowego.

„Społeczeństwo przecież, konkretnie biorąc, składa się nie z jednostek, lecz ze wspólnot. Pełnia i bogactwo życia duchowego jednostki zależy wyłącznie od ilości i jakości wspólnot, w których uczestniczy. Niema życia psychologicznego człowieka poza formą jego współistnienia w zbiorowości”.

Oczywiście tezy te przyjąć można o tyle, o ile nie sprzeciwiają się one pojęciu indywidualności i osobowości, które stanowią jedną z podstawowych zdobyczy światopoglądu chrześcijańskiego.

Zasługą chrześcijaństwa jest, że zharmonizowało ono życie jednostki ze społeczeństwem, zachowując jednak właściwą ich odrębność.

* * *

Ostatnia powieść H. Morsztina p. t. „Rozgrzeszenie” przynosi interesujące rozważania filozoficzne i moralne.

Obok konfliktu ideowego, który niestety nie został bynajmniej pozytywnie rozstrzygnięty, przedstawia autor konflikt moralny z pożyciem małżeńskim Halickich.

Małżeństwo to oparte na zwierzęcym egoizmie jest typowym nieporozumieniem. Żona niema najmniejszych zainteresowań dla życia duchowego męża, mąż nie czyni żadnych wysiłków, by ją ku sobie podnieść.

P. Irena ma pretensję do męża, że ją zaniedbuje dla swej astronomji, a tymczasem zbliżenie z mężem pojmuje jedynie jako „szal” erotyczny.

Kultura uczuciowa obojga małżonków ma poważne luki, poza sferą erotyczną wszystko inne wieje pustką i brakiem jakiegokolwiek oddźwięku.

Poczucie obowiązku zachowania wiary małżeńskiej — zupełnie nie wyrobione. Mąż zdradza żonę z pewną „salonową” rozpustnicą, uważając to jedynie za rodzaj fizycznej rozrywki.

Irena, poinformowana o wszystkim, pisze list do męża — piękny literacko — o miłości etc. i zażywa 8 pastylek veronalu na znak protestu za podłe jej sponiewieranie. Słowem protest wypadł również poniżej wszelkiego poziomu moralnego.

Irenę zdołano jednak uratować. Mąż próbuje naprawić błąd, ale bez specjalnego przekonania.

Rozwiązanie sytuacji przychodzi w formie oczekiwanego dziecięcia, które ma znów zcementować rozchwiewającą się małżeństwo. Można wyrazić tę słuszną obawę, czy się to powiedzie przy kolebce, skoro nie udało się przy ołtarzu.

Autor nakreślił tu trafną charakterystykę pewnego typu małżeństwa wśród t. zw. inteligencji, gdzie frazes

pokrywa pustkę duchową i brak drogowskazów moralnych.

Czy z tego wszystkiego można tak łatwo rozgrzeszać?

* * *

„Serce lodów“ stoi na bardzo wysokim poziomie artystycznym, natomiast wypełniająca dzieło atmosfera moralna budzi zastrzeżenia.

Powieść Goetla dzieli się na dwie części nierównej wartości artystycznej i moralnej. Zanim twórca napełni swe dzieło oddechem epopeji lodowej, długo nie może wydobyć się z matni szarych przyziemnych spraw, z bardzo grząskiego bagienka trywialności i małych grzechów oraz upadków.

O ile działalność naukowa profesora Zataja, głównego bohatera powieści ma jeszcze wiele cech wzniosłych, o tyle jego życie prywatne dziwnie jest uwikłane w sprzeczności i chwilami tonie już nie tylko w pospolitości, ale wprost w topielisku nędzy moralnej.

Na progu swego życia i działalności naukowej zaplątał się w przykrą aferę cudzołożnej miłości. I miłość ta wlecze się za nim tragicznym wspomnieniem przez długie lata, kładąc głębokie cienie na całe jego życie i łamiąc go w końcu moralnie i fizycznie.

Profesor Zataj, mimo, że następnie założył rodzinę i ma żonę i dzieci, jednak jest właściwie samotny, zamknięty w skorupie swego bólu, w rozpamiętywaniu swej tragicznej omyłki. Z żoną nic go nie łączy, prócz świadectwa ślubu. To też zdradza go ona, a dzieci jej rajfuruja.

Gdy pierwsza jego wyprawa do serca lodów była wyrazem prawdziwie bezinteresownego porywu ofiarnej młodości, druga wyprawa swemi celami naukowymi maskuje właściwie nurtującą w nim chęć zobaczenia dawnej kochanki z ziemi lodów. Obie te wyprawy załamują się właśnie pod ciężarem jego osobistego upadku.

Autor tu dotknął od strony negatywnej tego ważnego problemu, że życie osobiste człowieka, wysoki jego poziom i zdrowa moralnie atmosfera są warunkiem pomysłowości jego pracy i działalności publicznej.

W naszej literaturze oddawna już pokutuje typ bohatera-samotnika, z głęboką raną w sercu, który w jej jątrzeniu widzi właśnie gwarancję owocnej pracy dla drugich. Rodzina — jako ostoja życia moralnego, jako źródło potęgi duchowej, jest nie tylko w zaniedbaniu ale wprost w pogardzie. Naszym powieściopisarzom wydaje się, że, aby być pożytecznym społecznie, trzeba przekreślić to, co oni nazywają szczęściem osobistym, a co ma w tym wypadku oznaczać życie rodzinne.

Życie rodzinne — to przede wszystkim jest suma różnych obowiązków. Obowiązków, które w zasadzie powinien podjąć każdy człowiek. Będzie to próba jego wartości. Natomiast w naszych powieściach zwykle jakiś dr. Judym odchodzi od swej Joasi. (Ludzie bezdomni Żeromskiego). Bo rodzina ma być kresem bohaterskiego żywota, ma prowadzić rzekomo do groźnego sfilistrze-

nia. Przybyszewski, Żeromski, czy Boy w swych „Słódkach” — wszyscy oni usiłują właściwie skompromitować rodzinę, wykazać już nie tylko jej zbędność, ale wprost szkodliwość. Tymczasem nawet okrzyczany jako rewolucjonista krytyk J. N. Miller stwierdza ze zgrozą to zakłamanie „postępowe”, tę niebezpieczną walkę z podstawową formą życia społecznego — rodziną.

Wogóle walęsające się po literaturze typy bohaterów — rzekomo walczących w interesie społeczeństwa, są w rzeczywistości antyspołeczne i tragicznie bezpłodne.

Ich „wielkie” idee, które obarczają swe bohaterkie serca, są dziwnie nieżywcze i martwe, jak serce lodów, dziwnie dalekie od rzeczywistości.

Ba, ale przyjęło się, że miarą bohaterstwa jest właśnie egzotyzm wyznawanej idei. Im bardziej daleka od nurtu życia, tem ma być donioślejsza, jak słońce, które ponieważ jest tak daleko, więc tak mocno świeci.

Falszywa to analogia.

Te pseudo-ideje i pseudo-bohaterstwa to są księżycze martwoty, które „świecą”, to prawda, lecz nie grzeją.

Zapewne u Goetla mamy już pewien postęp w traktowaniu zagadnień erotycznych, lecz bodaj czy dalej poszedł on od takiego Sienkiewicza, który skłonny był przypisywać seksualnej stronie życia większe znaczenie, od tego jakie ma w rzeczywistości. Takie „Bez dogmatu” zakrojone początkowo na wnikliwą analizę filozoficzno-psychologiczną, w końcu załamuje się na płaszczyźnie romansu, najzwyczajszego w świecie, choćbyśmy go nie wiem jak subtelizowali. Mamy, doczytując książki, takie wrażenie, że Płoszowski zmarnował życie nie tyle „przez dogmatu”, ile „przez spódnicy”, jak to powiedział pewien złośliwiec.

Goetel zapewne patrzy poważniej na życie, ale i u niego miłość, małżeństwo i rodzina ulegają skarykaturowaniu. Takie „Z dnia na dzień”, jest właściwie analizą procesu rozpadania się rodziny, na co autor nie znajduje innego środka, jak odesłanie swego bohatera w dziedzinę fikcji. Można by nawet doszukiwać się tu związku z sienkiewiczowskim „bez dogmatu”.

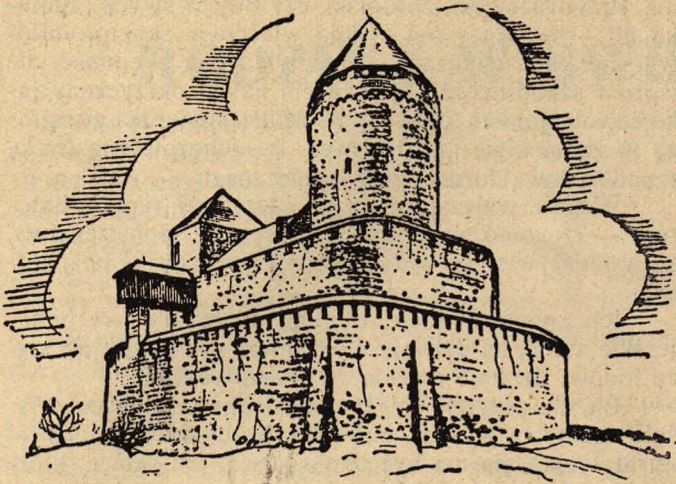
Tak więc Goetel wiele nabroił w swych powieściach. Jeśli wielu mu będzie przebaczone, to może dla tej jednej noweli o miłości ojcowskiej. Opisuje w niej losy ściganego przez bolszewików człowieka. Zaszczuty przez pogoń, wygłodniały, zmęczony chowa do ostatka, jako najdroższą pamiątkę, okrucz biszkoptu, który dała mu na pożegnanie mała córeczka...

Nie znam wiele rzeczy tak wzruszających, jak ta opowieść w „Karchat”.

Jakkolwiek estetycy upierają się, aby do dzieła literackiego przystępować wyłącznie ze sprawdzianami artystycznymi, to jednak nie można zaniechać skonfrontowania twórców pisarskich i z innymi sprawdzianami społecznymi, historycznymi, moralnymi. — Harmonijne uwzględnienie tych wszystkich czynników dać dopiero może dzieło artystycznie doskonałe.

Wyjątek z książki „Zmysły na licytacji”.





Projekt rekonstrukcji zamku w Będzinie według prof. Adolfa Szyszko-Bohusza.

OZDOBA BĘDZINA

Przed paru laty obleciała Polskę przebojowa piosenka Tuwima, która opiewała perypetje żydowskiego grajka z Będzina.

„Miasteczko Będzin w Polsce jest i rynek jest w Będzinie“ — tak brzmiał początek tego przeboju.

Owszem, jest rynek w Będzinie, ale nie powiem, żebym się nim zachwycił. Wprawdzie jest on całkiem inny od przedwojennego. I przez Będzin przeszła burza estetyczna, która zniosła jak warstwy kurzu targowisko niechlujne. Dziś, po zbudowaniu wcale ładnych hał targowych w innym miejscu, na rynku założono ozdobny skwer, ustawiono mocno fantastyczny pomnik — kilkumetrowa błyskawica wsparta na cokole, niestety jednak nie wprowadza to turysty w zachwyt. Ładne, miłe, nie przeczę, ale że i gdzieindziej spotyka się podobne skwery z podobnymi pomniczkami, nie nazwę tego ozdobą Będzina.

Dla Tuwima mógł rynek być czemś, co się najsilniej wraża w pamięć; ja wszystko inne widzę w mej myśli jak przez mgłę, najwyraźniej zaś pamiętam ruiny zamku, wypiętrzone nad płasko rozłożonym miastem. One to właśnie są największą ozdobą Będzina, a zarazem ciskającym się zaraz w oczy dokumentem jego starożytności.

Gdy dojeżdża się do Będzina od strony wzniesień siewierskich, odrazu widzi się ponad dachami niewysokich domów ostro zarysowaną masę baszty zamkowej. I jak trudno wyobrazić sobie sylwetę Warszawy bez wieżyc świętokrzyskich, kolumny Zygmunta, Zygmuntońskiej wieży, fary, kościoła jezuickiego, aż hen po masywną dzwonnice Panny Marii na Nowem Mieście, tak nie sposób pominąć w sylwecie Będzina zębatego u góry walca basztowego.

Podchodzimy bliżej. Mury rosną, jakby się chlubiąc swą wielkością, ukazują nowe partje, przy wjeździe niedostrzegalne. Poza basztą nad szpetnym otokiem nędznych, niechlujnych, małomiasteczkowych chałup wspiął się kwadrat murów, z wapienia, jak wogóle większość

budowli w Zagłębiu, ułożonych, niegdyś oślepiająco białych, teraz pokrytych ciemną, dostojną patyną wieków.

Od nieprzesadzającej w czystości dzielnicy, ulice której oczyszcza łaskawie najwyżej dobrotliwa ulewa, zwaliska zamku oddzielone są parkanem. Trzeba przejść spory kawał po paskudnym bruku, nawąchać się zapachów i niezapachów, wspiąć malowniczą, stromawą uliczką obok kościoła, przeciąć płaski taras pogórka, zapuścić się w pretensjonalnie rozplanowany park i wtedy dopiero staje się przy szacownych murach. Wtedy też zauważa się wspartą na arkadach murowaną kładkę dla jednego przechodnia, przerzuconą nad fosą, niegdyś z wodą, dzisiaj całkiem suchą.

Zwaliska w całej okazałości. Niema dachów, niema okien, ni futryn, ni drzwi. Lecz to nie razi, bo widzi się, że się tu coś święci. Dół z lasującym się wapnem, jakieś kładki, nawet gruz zwalony — wszystko to usposabia niesentymalnie. Nie mógłby tu człowiek zasiąść jak romantyk ckliwo nastrojony i sypnąć na papier rymami łzawej dumy. Czuje się, że zamek jest u progu nowego okresu swych dziejów. Istotnie, obecnie dokonuje się jego odnowienia, a raczej rekonstrukcji, tak że za lat kilka wyłonią się kształty niewiele odmienne jak przed sześciu zgórą wiekami.

Stary jest zamek będziński, poza samym wiekiem wszakże oplotły go chlubne wspomnienia historyczne. Powstanie swe zawdzięcza Bolesławowi Wstydliwemu. Gdzieś w połowie XIII w. pobożny mąż świętej żony dźwignął na wzgórze, tuż przy Czarnej Przemszy, mury zamczyska, frontem na zachód zwrócone. Nie przeciwko Niemcom był wprawdzie wzniesiony, jak to objaśniają teraz przygodni informatorzy, tem niemniej skierowany był przeciwko najazdom zachodnim. Dzisiejsze Zagłębie — to szmat ziemi, o którą toczyły się ciągle wojny w okresie dzielnicowym pomiędzy książętami polskimi a śląskimi Piastowiczami, łasymi na te terytorja.

Nie był zamek w Będzinie okazały, nie był wzorem twierdzy jak niektóre zamczyska nadreńskie. Ubogi, niewielki początkowo, uległ powiększeniu i wzmocnieniu za Kazimierza Wielkiego, który kupując się starym zwyczajem na podzamczu osadę podniósł do rzędu miast, nadając jej w 1358 r. przywilej lokacyjny i prawo niemieckie.

Ceniono wartość strategiczną tego punktu, dbano o zamek, umacniano go, rozszerzano, wskutek czego w zaraniu doby jagiellońskiej zaczyna się stawać scena, na której rozgrywają się fakty historyczne. Predestynują go do tego obszerność i okazałość, że przyjąć można gości i najznakomitszych.

Dzieje mówią:

1434 — wielki zjazd wielmożów polskich i książąt śląskich, mający na celu uregulowanie pokojowe konfliktów odwiecznych. Jest Zbigniew Oleśnicki, książę na pobliskim Siewierzu, gdzie zamek sobie wznosi obszerniejszy od będzińskiego, jest cieszyński Wacław, opolski Bernard, oświęcimski Wacław, raciborski Mikołaj. Ugoda zawarta, okolica odetchnęła, że nie będą jej trapić pograniczne najazdy z poza śląskiej granicy.

1574 — powitanie Henryka Waleczusza, zdążającego do stolicy, by objąć tron polski, który wnet miał porzucić dla władania Francją.

1589 — znów zjazd w konsekwencji zatargu przedelekcyjnego. Arcyksiążę Maksymilian, brat Rudolfa II,

wzięty do niewoli pod Buczyną przez Jana Zamoyskiego, osadzony został w więzieniu na zamku w Krasnymstawie. Cesarski brat nie mógł pozostawać tam długo, to też w Będzinie zjechali się z Rudolfovymi wysłannikami i pogromca arcyksiążęcy Zamoyski, i marszałek wielki koronny Jędrzej Opaliński, i biskup krakowski Hieronim Rozżarzewski. W wyniku obrad zawarto t. zw. pakta będzińskiego, w których Maksymiljan zrzekał się praw do tronu polskiego wzamian za odzyskanie wolności, a dwór Habsburgów uznał Zygmunta III Wazę za króla polskiego.

1683 — na zamku będzińskim gości Jan III Sobieski. Ponownie przyjmuje tu posłów cesarskich, wzywających pomocy dla Wiednia; stąd również wysyła posiłki i rusza na odsiecz drogą na Piekary i dalej.

Takie to chwile widziały mury będzińskie. Wspinała, uroczyste, dostojne. Ale nie brakowało i chwil gorszych. Pożary, zniszczenia w dobie szwedzkiej osłabiły urok i piękno, gdy zaś na tronie polskim zasiadał Sasi czy stolnik litewski, zamek w Będzinie jako starostwo niegrodowe będzie ważny o tyle, o ile płaci przepisana sumę. Sceną wydarzeń politycznych stają się inne miejscowości, zamczysko upada. Starostów ani to ziębi, ani grzeje. Dokonywują jakichś takich reperacji, niewiele to wszakże pomaga. Wiek ubiegły zostaje zamek w ruinie. Do zewnętrznych jego murów niby grzyb na butwiejącym drzewie przyssały się nędzne budziny biedoty. Obraz nędzy i rozpacz.

Okolo 1830 r. zainteresowano się zwaliskami. Edward hr. Raczyński, komisarz rządowy do spraw podniesienia górnictwa, powziął myśl przebudowy zamczyska dla pomieszczenia w nim szkoły górniczej. Z funduszy jego oraz Banku Polskiego dokonano przebudowy w sposób dość bezceremonjalny. Surowy, średnio-wieczny zamek pokryto blachą, na niższej znacznej baszcie postawioną małą basztką, jakieś kolumny sterzące samotnie, połączone z resztą portykowatym gzymsem, gzymśiki, gzymśiczki, a nad tem wszystkim — uwieczniła to litografia Sommera — chorągiewki i palmy. Architekt Franciszek Lanci nic się nie liczył z przeszłością.

Kiedy roboty skończono w 1834 r., do pomieszczenia szkoły górniczej nie doszło. Ostatecznie rozmieścił się tam szpital ewangelicki i kaplica tegoż wyznania.

Restauracja nie wystarczyła na długo. W 1861 r. Franciszek Maksymiljan Sobieszczański pisał: „Już teraz szmaty cynku z dachów walają się po dziedzińcu, a rumowisko sypie się zewsząd; mnóstwo lat, krokwi, belek, pułapów i podłóg zerwanych zapełnia w dziwnym pozawieszaniu i spiętrzeniu od dołu do góry wnętrze starych Kaźmirowskich murów, w poważnej swej nienaruszonych sile“. W 1864 r., jak przedstawia na okrzyczanym w swoim czasie obrazie Brzozowski, sterczały już tylko mury Kaźmirowskie, mniej więcej tak samo jak w czasach ostatnich.

Podjęte obecnie podniesienie zwalisk zamku, pierwsz: w Polsce, jeśli się pominie restauracje gmachów państwowych (np. Czersk pod Warszawą), zaprojektowane zostało przez Towarzystwo Opieki nad Górą Zamkową w Będzinie, które zamierza pomieścić w zrekonstruowanym zaniku Muzeum Zagłębia. Architektoniczny plan rekonstrukcji opracował specjalista w tym zakresie, prof. Adolf Szyszko-Bohusz, kierownik robót

restauracyjnych na Wawelu i na Zamku Królewskim w Warszawie. To już nie żadna fantazja à la Lanci, to najgłębsze uwzględnienie wszystkich danych historycznych, architektonicznych, kulturalnych, dzięki czemu osiągnięte zostało takie zbliżenie do stanu pierwotnego, że trudno je prześcignąć.

Z chwilą, gdy odbudowa zamku stanie się faktem dokonany ozdoba Będzina stanie się jeszcze większą ozdobą, której pozazdrościć będą mogły temu miastu inne miejscowości, nie wyłączając Siewierza. Wspaniałe było zamczysko Oleśnickiego, dzisiaj zato skazane jest podobno na zagładę, bo niema możliwości wzmocnienia murów. A w takim pięknym leżą otoczeniu, tyle wokół nich wolnej przestrzeni, czego brak zamkowi będzińskiemu!

Jak wszystkie stare mury bluszczowatemi skrętami otoczyła i Będzin fantastyczna legenda. Chodzą wersje o lochach tajemniczych, o przejściach niezwykłych, umożliwiających przedostanie się pod Czarną Przemszą do odległego Grodzca, a wszędzie napotkać można straszące duchy, wrogie idącemu śmiałkowi. Bez tych strachów ani rusz. Wszędzie je ktoś kiedyś musi spotkać. Ale przynajmniej mury nabierają przez to uroku tajemniczości. Rzecz prosta, nie obyło się też bez podania o ukrytym skarbie. Gdybyż go tak odkryto przy robotach, to może prędzej dokonano by tej śmiało zakrojonej odbudowy!

Józef Marjan Chudek.



Baszta zamkowa.

(Fot. J. M. Chudek.)

„SAMOBÓJCA”

Cdy już zamarły ostatnie słowa opowiadania młodego doktora, w pokoju zapanowała cisza.

Towarzystwo całe, zelektryzowane przeżywanymi obrazami, oddychało jakby swobodniej.

Nieoczekiwanie — w tę duszącą atmosferę wpadł srebrzysty głos Krystyny, która buńczucznie potrząsając lokami, niesfornie opadającymi jej na czoło, perorowała:

— No, moi państwo, wszystko to, coście nam dotychczas naopowiadali kolejno, było pełne grozy i okropności. Dla mnie jednak nie posiada znaczenia przekonującego, ponieważ ani jeden z powyżej przytoczonych faktów nie był waszem własnym przeżyciem. To były tylko zdarzenia zasłyszane lub przeczytane gdzieś przelotnie. Ale niech mi które z was opowie rzecz, choćby najprostszą, zupełnie nawet pozbawioną romantyzmu, ale przeżyta! Ale widziana własnymi oczyma, przetopiona w ogniu własnych uczuć i refleksyj myślowych szybkich, jak błyskawica!

Wyzywający gest drobnej rączki, wyciągniętej w stronę siedzącego wokół stolika towarzystwa, skonsternował otoczenie.

Młody doktor, zdruzgotany tą nieoczekiwaną krytyką, zapalał nerwowo papierosa, walcząc z nieubłaganą zapalniczką, która, pryskając żałośliwie, gasła co chwilę.

Obok siedzący siwy pan pośpieszył młodzieńcowi z pomocą, wyciągając zapalki z kieszeni.

— Wujaszku, ależ pocierasz odwrotną stroną zapalki o pudełko! — zaśmiała się Józefinka, błyszczącymi oczyma wpatrując się w swoje vis-à-vis, prokuratora sądu, który trwał w niezmaconej równowadze.

Stropiony wujaszek, bez słowa opozycji, zasunął się głębiej w miękki fotel, błogosławiąc ścielący się powoli w pokoju mrok, który pozwolił mu ukryć wyraz niezadowolenia.

— A pani nie zapali, panno Jadwigo? — zapytał milczący dotychczas i w pewnym oddaleniu od reszty towarzystwa siedzący mężczyzna.

Jego wybitnie piękna twarz, o niezmaconej harmonii linii, dziwnie szyderski miała wyraz.

Dziewczę, do którego skierowane było pytanie, podniosło nań zdumione spojrzenie.

— Darjusz, ty błądzisz w adresie, — to Józefina namiętnie pali po kątach, ponieważ czyni to wbrew woli wujka, — Jadwiga jest znaną spokojną. aby miała uprawiać jakikolwiek nałóg — wyjaśniała Krystyna.

— Nie podejrzewałem, aby panna Jadwiga tak chłodno przeszła nad stawianym jej zarzutem. Czy też czyni to pani, aby tem łatwiej ukryć rzeczywiste właściwości swej natury?

— Jadwiga jest skromna i nieśmiała, — ot i wszystko, a pan nie powinien przy lada sposobności okazywać jej dręczącego, choć wyszukanego w formie, zainteresowania! — odcięła Józefina.

— Ależ dlaczego wy obie ciągle odpowiadacie za mnie? Sądzę, że wam właśnie częstokroć zawdzięczać mogę opinie ludzkie, wysnuwane co do mojej osoby. Nie uważam za konieczne podejmowanie obrony przeciwko atakom pana Darjusza, ponieważ twierdzą, że między nami dwojgiem rozlane jest niezmiernie morze

idealnej obojętności, a to uczucie jest najlepszym odczynnikiem na wszelkie przejawy namiętności ludzkich.

— O, Jadzia filozofuje! — Stoimy wobec wielkich możliwości.

— A możebyś ty teraz sięgnęła do skarbczyka swoich przeżyć?...

— Jeszcze Darjusz tylko został i ty, musicie się popisać.

— Owszem, nie uchylam się od współdziałania, — tylko, czy pan Darjusz jako literat i znany podróżnik nie zechciałby skorzystać z prawa pierwszeństwa, gdyż uprzedzam, że moja przygoda jest najprostszą w świecie; posiada jedynie tę wartość, że ją przeżyłam...

— Ja zastrzegam sobie prawo wyłączności na eksploatację końcowych efektów, panno Jadwigo!

— Aby gwiazdła pana przy mojej nie zbladła? — A więc dobrze, — posłuchajcie, państwo, zatem historii, która mi się przytrafiła w czarowną letnią noc ubiegłego sezonu!... Lato spędziłam w tym roku w Świdrze, w charakterze przymusowej opiekunki mej młodej siostrzenicy, ponieważ stan zdrowia siostry mojej wymagał dłuższej i pieczołowitej kuracji. Ja zatem zostałam jednogłośnie przez rodzinę wybrana na poważne i odpowiedzialne stanowisko opiekunki, które też postanowiłam sumiennie sprawować.

Pobyt nasz w Świdrze, w najlepszym zresztą pensjonacie, ułożył się bardzo cicho i monotonnie. Jednostajność biegnących dni miała zarówno dla młodej, jak i dla mnie, duże znaczenie pedagogiczne, gdyż, pozwalając nam idealnie odpocząć nerwowo, wdziałała jednocześnie do systematycznego życia.

W ten idealnie harmonijny bieg dni wpadała od czasu do czasu, jak wiew huraganu, Anita, którą słusznie pomawiają wszyscy o sprawowanie służby łącznikowej między siostrami. Jest ona rzeczywiście niestrudzona w swej ruchliwości i niezastąpiona w udzielaniu wyczerpujących informacji z szerokiego świata. Nic więc dziwnego, że każdy przyjazd Anity był dla mnie radośną niespodzianką.

Owego pamiętnego dnia Anitę przyjechała niezwykle późno, pociągami popołudniowym. Po upalnym dniu zeszedł cichy, słodki wieczór. Iskrujące gwiazdy zdawały się być płynnym złotem, wtłoczonym w aksamit, rozpostarty tuż nad ziemią. Byłyśmy obie bardzo zmęczone i dziwnie rozleniwione. Zsiadłszy na werandzie poczęłyśmy gawędzić, chrując czekoladę.

Nagle Anita rzuciła projekt, którego najmniej mogłam się spodziewać. Zapragnęła przejść się na spacer. Sprzeciwiłam się temu, gdyż byłam nieusposobiona do przechadzki, poza tem nie zwykła byłam zostawiać Wandzie samą, nawet gdy spała. Anita jednak nie zraziła się moim uporem i ani się spostzegłam, gdy znalazłyśmy się za furtką ogrodu.

Noc księżycowa i gwiazdzista powodzią seledynu oświetlała drogę, wiodącą do rzeki.

Doszedłszy nad wodę, skręciłyśmy w stronę mostu kolejowego. Niezmacona cisza panowała dokoła. Od czasu do czasu szedł tylko dźwięczny szelest po telegraficznych drutach, któremu wtórowały rozśpiewane świerszcze nad wodą.

Chciałam zawrócić tą samą ścieżyną ku domowi, lecz Anicie zachciało się pójść wzdłuż plantu kolejowego. Nie mogłam pojąć tej nagłej chęci dreptania po ostrym wirze, lecz biernie poddałam się jej kaprysowi. Trochę nadąsane słyśmy obok siebie bez słowa.

Nagle poczułam, iż Anita kurczowo zaciska mi palec wokół ręki. Zatrzymałyśmy się raptownie.

— „Patrz“! — postyszałam zdławiony szept Anity i jednocześnie poszłam wzrokiem we wskazywanym przez nią kierunku.

Na torze kolejowym coś majaczyło.

— „Co to“? — spytałam, gdyż nie mam zaufania do mego krótkiego wzroku, który mi często płata przykre figle.

— „Człowiek! Kłęczy na torze“!

— „Przywidzenie, — to z pewnością krzewy“...

— „Czy uważasz, że rosnać będą między szynami“? — rzuciła Anita gwałtownie.

Wyteżyłam wzrok z całej mocy, usiłując rozróżnić kontury tej ciemnej masy. Był to w rzeczywistości mężczyzna, który kłęczał na torze z gołą głową, rękami zakrywając sobie twarz. W miarę naszego zbliżania się cichy jęk, czy słowa modlitwy poczęły dobiegać naszych uszu.

— „On chce popełnić samobójstwo! Musimy go ratować“! — Anita rwała się ku tajemniczej sylwetce

W tej samej chwili ozwał się po szynach dobre nam znany dźwięk zbliżającego się pociągu, a wdał zamigotały dwa figlarne światelka reflektorów.

Zdrętwiałam na moment. Z niebywałą u mnie jasnością umysłu objęłam grozę sytuacji. W szamotaniu się z tym nieznanym człowiekiem zginie Anita.

— „Nie ruszysz się stąd“! — wykrztusiłam i uchwyciłam ją za włosy z taką siłą, że przygięła się z bólu ku ziemi. Nie wypuszczając mej ofiary z rąk, zaczęłam przeraźliwie krzyczeć, nemiłosierne obelgi miotając pod adresem zdeteminowanego samobójcy. On jednak pozostał bez ruchu.

Tragizm położenia zwiększał się z sekundy na sekundę. Miałam wrażenie, że krzyk więźni mi w gardle i nie dochodzi uszu desperata. W ostatniej rozpacz porywałam z obok znajdującej się przyzmy kamienie, godząc nimi z całej siły w kulącą się postać. Anita w zapamiętaniu wymachiwała latarką elektryczną, łudząc się święcie, że sygnalizacja ta może być dostrzeżona przez maszynistę. Ja nie ustawałam w ataku. Wszyscy troje tworzyliśmy doprawdy wizję piekielną na ziemi.

Wtem oślepił mnie blask reflektorów, szum i łoskot pędzącej błyskawicznie maszyny, a siła prutego powietrza odrzuciła nas w bok, bryzgając piaskiem i pyłem sadzy w oczy.

To przeszedł ekspres, pozostawiając po sobie pióropusz zgęszczonej pary i miraż utkanych w niej iskier.

Zmartwiałe cisnęłyśmy się drżące ku sobie, nie śmiejąc spojrzeć w stronę szyn. Anita pierwsza zdobyła się na odwagę, aby postąpić kilka kroków i oświetlić latarką to miejsce, gdzie przed chwilą kłęczał mężczyzna.

Tor był pusty.

Wdał tylko zamajaczył ludzki cień, który skrył się szybko wśród pobliskich zarośli.

Odetchnęłyśmy z ulgą i już zupełnie pogodzone, choć bez słowa pojednania, ujęłyśmy się silnie pod ra-

mię i skierowały ku domowi. Nie rozważałyśmy jednak nigdy, co właściwie spowodowało cofnięcie się tego człowieka w ostatnim momencie. Czy ciosy, zadawane mu przezemnie obudziły w nim tak właściwe naturze ludzkiej poczucie trwogi przed cierpieniem fizycznym, czy też obawa zatrzymania pociągu i zdemaskowania jego osoby?...

Oto, jak uratowałyśmy życie nieznanego nam człowieka!

Jadwiga umilkła. Pokój zaległa cisza.

— A czy pamięta pani datę dnia tego? — rozległ się nagle stłumiony głos z kąta pokoju.

— Był to piętnasty lipca.

— Nareszcie wiem, komu zawdzięczam życie!...

Przed Jadwigą stał Darjusz, ujmując miękkim ruchem jej ręce.

— To też składał je z ufnością w drobne pani dłonie, panno Jadwigo!

Fala krwi oblała śmiertelnie pobladłą twarzyczkę Jadwigi. Pochyliła ciemną główkę, a paluszki jej mocniej zacisnęły się wokół meskiej ręki na znak zgody.

Na tarasie pełnym słońca siedzi ich dwoje. Żar południa upalnym tchnieniem spowija mdlejące palmy, w których cieniu człowiek szuka schronienia. Kobieta, zapatrzona w lazur zatoki, łowi oczyma strzępek zabłąkanej pary, oderwanej od komina pędzącego wdał pociągu.

— Darjusz, — szepce — to dziś nasza rocznica!..

— Mylisz się, maleńka, — poprawia ją delikatnie mężczyzna, — dopiero będzie za trzy miesiące!

— Nie ja się myślę, lecz ty! Gdyż ja myślę o tej strasznej chwili, kiedy wyrwałam cię śmierci!...

— Ach, to dziś piętnasty lipca! — śmieje się Darjusz, — no, ale czyż wyrwawszy mię ze szponów jednego niebezpieczeństwa — nie zgotowałaś mi stokroć gorszego?...

— Darku! Nie pytałam cię o to nigdy dotychczas, lecz dziś powiedz mi, co cię przywiodło do tego szalonego kroku?...

— Ty!...

— Jakto?!.. To niemożliwe!...

— Nie chciałaś na mnie zwracać uwagi, — a ja kochałem cię od pierwszej chwili naszego poznania!...

— Darjusz! Proszę cię, odwołaj to natychmiast!...

— A co byś zrobiła, Jadziu, gdybym ci wyznał całą, okrutną prawdę?

— Mów!...

— To nie byłem ja — tam na torze kolejowym 15 lipca... Myśl zaszachowania cię tem wyznaniem zakiełkowałam mi w głowie w momencie, gdyś skończyła wówczas swe opowiadanie. Zaprağnałem za wszelką cenę przedrzeć się przez powłokę tej pozornej obojętności w głąb twej duszyczki i rzuciłem wszystko na szalę, gdyż tak mi dyktował głos jakiś wewnętrzny... Czy żałujesz tego, Jadziu?!!!...

Oczy Jadwigi, zawieszona na wargach mężczyzny zdawały się chłonać każdy wyraz. Nagle zatrzępotwały, jak spłoszone motyle i skryły się w cieniu długich, jedwabistych rzęs.

Usta jej nawpół uchylone drgały, ni to dziecięcym szlochom, ni promiennym uśmiechem, lecz głos brzmiał pewnie i przekonująco, gdy wyrzekła:

— Nie żałuję!...

Marja Ankiewiczowa.

Z E S Z T U K I

KONKURS NA POMNIK CHRYSTUSA-KRÓLA.

W tych dniach rozstrzygnięto konkurs na pomnik Chrystusa-Króla w Warszawie. Pierwszą nagrodę przyznano p. Trzecińskiej, drugą p. Jackowskiemu, którego też pracę zakwalifikowano do budowy. Z prac wyróżnionych wysuwa się na czoło projekt Borawskiego.

Wogóle na konkurs nadesłano około 20 projektów. Cechuje je nowatorstwo, które najbardziej może dojrzały wyraz znalazło w pracy p. Trzecińskiej. Przyjęta natomiast do wykonania praca Jackowskiego, wyróżnia się skłonnością do passeizmu. Jego postać Chrystusa przedstawiona jest w ruchu (przypomina nieco Mickiewicza według Bourdela „Pielgrzym”), z głową szlachetnie wymodelowaną według tradycyjnych kanonów sztuki kościelnej. Postać ta mimo dużej brawury w dynamice odbija bardzo korystnie od innych projektów, w których figura Chrystusa, choć może spokojniejsza w wyrazie, jednak potraktowana jest zbyt schematycznie, jak pierwsza lepsza pałuba.

Artyści zlekceważyli sobie wskazania sztuki, które ustaliły cechy charakterystyczne odtwarzania postaci Chrystusa, kładąc przez to tłumik na różne wybujałości inwencji twórczej.

W niektórych projektach biorących za punkt wyjścia kompozycji kolumnę, po-

stać Chrystusa wieńcząca ją została ujęta zupełnie już dowolnie, tak, że można się w niej domyślać wszystkiego. W innych projektach mamy przerost symboliki, która przygniotła samą konstrukcję, nadając jej cechy ociężałości i niejasności. Zwłaszcza uwidoczniła się to w jednym projekcie, w którym Chrystus podtrzymywany jest przez Serafinów. Jego rozpostarte ramiona robią raczej wrażenie dźwigni, u której zwisają bezradnie aniołowie. Artysta nie zrozumiał, że co dobrze tłumaczyłoby się w kompozycji malarskiej, to w monumencie jest grzechem nie do darowania.

Trochę sztuczny jest też pomnik symboliczny, w którym Chrystusowi jakaś postać składa do stóp koronę królewską.

Razi najpierw gruby schematyzm wykonania, następnie symbolika budzi też poważne wątpliwości. Czy to ma być zaofiarowanie korony czy też hołd ukoronowanemu? Chrystus jest panem i królem świata i ludzkości z istoty swej boskiej władzy. Ta myśl nie tłumaczy się dość jasno w kompozycji.

Wracając do odznaczonej I-szą nagrodą pracy p. Trzecińskiej, mielibyśmy jej do zarzucenia nieco dziwaczne potraktowanie cokółu w formie schodków, w trzy strony rozchodzących się falami, całość w schemacie zbliża się do stożka. Jest tu raczej kwestja wyczucia estetycznego, czy

zaproponowana przez artystkę skala proporcji między poszczególnymi elementami tej swoistej piramidy oraz, monumentalne rozwiązanie kompozycji — są zadawalające? Naszem zdaniem — nie! Pewna falistość i gzymosowanie obrzeża schodów robią również nienaturalne wrażenie. Podobnie nienaturalnie wygląda cokolwiek Borawskiego, budowany z kregów przypominających krążki wosku ułożone w stos szerszymi obwodami ku górze. W ten sposób, mimo woli, robi się wrażenie, jakby chciano odciąć dostęp do postaci Chrystusa. A chyba nie o to chodzi.

Postać jego Chrystusa jest natomiast jedna z piękniejszych.

Przeznaczony do wykonania projekt Jackowskiego ma w sobie liczne cechy dojrzałości twórczej. W symbolice postaci jest jasny. Twarz Chrystusa pochylona ku ziemi oddycha miłością, ręka wzniesiona w niebo mówi ludziom o rzeczach wiecznych i celu życia. Całość postaci spoczywa na prostym i harmonijnym cokole nie goniącym za sztucznym wyszukaniem i liczącym się z tem, że pomnik ma stanąć na placu publicznym wśród miasta.

Naogół biorąc, plon konkursu przedstawia się interesująco, świadcząc o pewnym postępie w naszym świecie artystycznym, który w latach ostatnich nie zdradzał zainteresowania problemami sztuki kościelnej.

J. Cz.

ROZMAITOŚCI

Policjanci nowojorscy. — W Nowym Jorku istnieje katolicki związek policji miastowej. Corocznie związek ten urządza uroczyste nabożeństwo. W tym roku na Mszy św. związkowej było 3.500 członków. Po nabożeństwie odbyło się towarzyskie zebranie, na którym kardynał Hayes miał przemowę. W mowie tej zaznaczył, iż dobry policjant powinien mieć: cierpliwość Joba, mądrość Salomona, a odwagę Daniela we lwiej jamie. Tego roku przystąpiło tam do wspólnej Komunii św. wielkanocnej w katedrze św. Patryka 5.500 policjantów, czyli prawie trzecia część wszystkich policjantów w N. Jorku.

Polityk zakonnikiem. — Ktoś powiedział, że polityka, to kręactwo, kłamstwo i t. d. Okazuje się jednak, że i do duszy polityka ma dostęp światło Prawdy. Oto przed paru laty wstąpił do opactwa benedyktyń-

skiego Saint André w Belgji, b. naczelnik rządu narodowego chińskiego. dr. Lou, noszący w zakonie imię ojca Piotra Celestyna.

Obecnie ojciec Piotr Celestyn ukończył nowicjat i rozpoczął zwykłe studia teologiczne, które przechodzą wszyscy zakonnicy benedyktyńscy przed otrzymaniem święceń.

Ząb Buddy. — W Kandy (Cejlon) przechowuje się wśród kwiecia lotosu, oprawny w złoto i ozdobny w perły, ząb Buddy w miniaturowej pagodzie szklanej, obramowanej złotymi pasami.

Wyznawcy religji buddyjskiej powiadają, że jest to jedna z 23 szczególnych właściwości, które posiadał Budda. Do Kandy przywozła go (nie wiadomo skąd) księżniczka Kalin ga, starannie ukrywszy skarb we włosach. W r. 1560 dostał się w ręce Portugalczyków, którzy zawieźli go do Goa i tam spalili. Tymczasem

buddyjscy kapłani, nie mogąc znieść podobnej profanacji, sporządzili inny z kości słoniowej na wzór tamtego i orzekli, że ząb, który spalili Portugalczycy, był fałszywy. W ten sposób ocalała niby do dziś droga pamiątka.

Ząb ten jest bardziej podobny do kła krokodyla, niż do zębu ludzkiego. W każdym roku przybywają tysiące pątników z całego Wschodu na Cejlon do Kandy. Opowiadają, że lat temu 50 Syjamczycy wysłali delegację, ofiarując 50.000 funtów szterlingów, by im pozwolono przenieść ten ząb do stolicy Syjamu, na co jednak pozwolenia nie otrzymali.

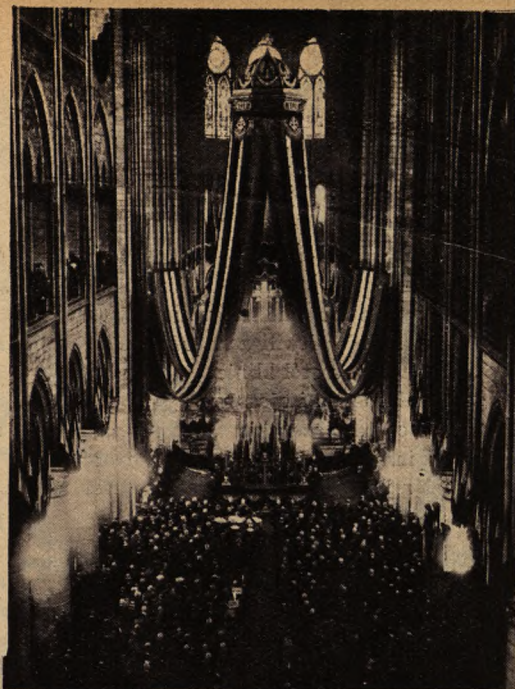
Znaczek pocztowy. — Rząd belgijski postanowił wypuścić nowe znaczki pocztowe z wizerunkiem wielkiego sługi Kościoła i patrioty kardynała Mercier. Dochód ze sprzedaży tych znaczków ma być przeznaczony na cele społeczne.

NOWINY

PARYŻ. Katafalk ze zwłokami prezydenta Dumyera w Notre Dame de Paris.

BERLIN. Fragment z procesji ulicznej. Klęczące zakonnice.

WARSZAWA. Przyjazd angielskich harcerzy. W tym roku przybywa do Polski założyciel harcerstwa gen. Baden Powell.

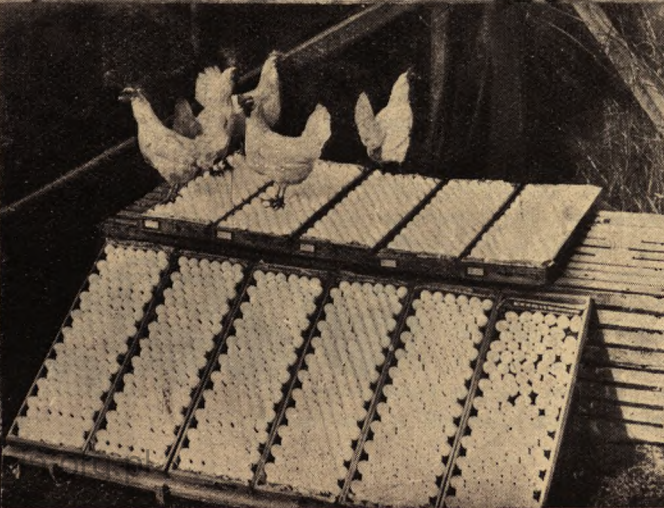


ZE ŚWIATA

WARSZAWA. Stanisławowi Barcewiczowi wybitnemu skrzypkowi, wystawiono nagrobek na Powązkach.

HIMALAJE. Przeprawa przez rzekę Sutlej odbywa się na skórach wołowych, wypełnionych powietrzem.

U. S. A. Na wyspie Long Island rocznie hodują 180,000 gęsi. Pięć kur zniosło 1483 jaja w ciągu roku.



Z T E A T R U

Problem świadomego macierzyństwa, znalazł jeszcze jedną próbę oświelenia w sztuce Jewreinowa „Miłość pod mikroskopem”.

Sztuka ta jest wyrazem i to bardzo jaskrawym dzisiejszego „niepokoju seksualnego”, który bruździ w duszach ludzkich.

Niepokój ten doznał silnego wzmocnienia przez naiwne skonstruowanie umysłowości zachodnio-europejskiej, z mentalnością Wschodu. Jewreinow jest jak wiadomo Rosjaninem, który od kilku lat przebywa w Paryżu. Jego przewrażliwiona, skłonna do mistycznych uniesień duchowość, musiała się znaleźć w silnej opozycji z opartem na zdrowym rozsądku środowiskiem francuskim. Jewreinow tej trzeźwości racjonalistycznej, ani zrozumiał, ani starał się zgłębić. W rezultacie dał nam powierzchowny i wręcz karykaturalny obraz przedstawicieli umysłowości zachodniej. Bohaterem sztuki jest prof. Faure, kierownik kliniki lekarskiej.

Autor rozlał duszę Faure'a na połowę, tak że nasz internista może za Goethem powiedzieć: „Dwie dusze w mej piersi się mieszczą”.

„Jedna dusza” prof. Faure'a jest okazem tępego rezonerstwa. Zdaniem jej, czy też zdaniem jego, gdy to „alter ego” w nim przemawia: miłość pod mikroskopem nie da się stwierdzić, istnieją natomiast pewne potrzeby fizjologiczne. Człowiek nauki nie uznaje miłości. A jednak prof. Faure odczuwa jakąś „słabość” do swej asystentki Olgi Normannówny. Żeby to jakoś usprawiedliwić głosi, że w nim przemawia „druga dusza” rycerza i trubadura średniowiecznego.

Urządza więc coś w rodzaju maskarady. To drugie swe ja romantyczne nazywa Teobaldem, a Olgę, jako jego odpowiednik uczuciowy — Micelą.

Cała ta historia nie kończy się jednak na samem odczytywaniu poematów lirycznych, na tle kliniki chirurgicznej. Rzeczy zaszły dalej, a biedna Micelą ma zostać matką. Faure się wścieka zwłaszcza, że posadza ją jednocześnie o zdradę.

Wówczas do głosu dochodzi owo pierwsze racjonalistyczne ja. Prof. Faure postanawia dokonać zakazanej operacji. W ostatniej chwili zadrżała mu ręka, miał więc na stół kliniczny, decyduje się na małżeństwo i ojcostwo.

Poco te błazeńskie drwiny? Czy nie było innej drogi, by prof. Faure zrozumiał miłość bez mikroskopu? Autor widać innej nie znalazł.

O ile z tej sztuki rzeczywiście nawskroś nowoczesnej w ujęciu tematu można coś wyłuskać, to chyba jedna, że Jewreinow apeluje do naszej uczuciowości, aby szukać w niej ucieczki przeciw zbyt niemu „racjonalizmowi”. Tu jest właśnie błąd. Rzecz idzie o to, by owe rozłupane „połowy duszy ludzkiej” związać w jedną całość, a wówczas rozum nie będzie tak bezlitosny w swej zimnej logice, a uczucie tak niszczące w swej nieopanowanej żywiołowości.

W teatrze „Ateneum” pokazano nam ciekawy reportaż sceniczny p. t. „Car Lenin”. Autor, jak widać z tytułu, ma pewne nastawienie wobec osoby Lenina, w którym pomimo całej jego rewolucyjno-demokratycznej frazeologii, dopatruje się przedewszystkiem cech zwykłego despoty i tyraństwa.

Autor wcielił w Lenina złego genjusza władzy, który czyni zeń manekina bezmyślnego okrucieństwa. Wokół Lenina wszyscy kręcą się jak marjonetki, ale on sam nie jest niczem więcej, conajwyżej przerasta je o głowę, w której gore wulkan nieublaganej, wrogiej wszystkiemu logiki rewolucyjnej. Lenin zapomina, że życie ludzkie i społeczne rozwija się nieco inaczej niż postęp matematyczny i dlatego, pomimo całej abnegacji, i oddania dla sprawy, nie doznaje żadnej radości ze swego dzieła.

Wreszcie umiera wyczerpany, tknięty przez paraliż. Odjęło mu mowę i oto „car Lenin” uczy się jak niemowlę najprostszycich słów: „ja jestem Lenin. Niech żyje rewolucja!”

W tem zakończeniu sztuki, byłoby więcej pedagogicznej grozy, gdyby śmierć Lenina była bezpośrednio związana z jego akcją. Ostateczna katastrofa stoczenie się na dno bezsily, byłyby logicznym

jej zamknięciem. Tak zaś budzi ono pewną wątpliwość.

W każdym bądź razie autorowi udało się poddać widzowi myśl, że ludzie i narody wciąż wracają, mimo krwawych doświadczeń, do dziecinnego seplenienia krwawego alfabetu rewolucji.

„Życie jest skomplikowane” — powiedział sobie utalentowany pisarz Stefan Kiedrzyński i stara się nam ze sceny wzmówić to przekonanie. W tym celu postawił świetną groteskową figurę mecenasa Ornitowicza, prezesa pretensjonalnej Ligi Ochrony Ducha, karjerowicza i bonviveura, który wbrew całej swej Lidze, ma poprostu kochankę Mirę Wczere. Usiłuje się jej jednak pozbyć, aby zdobyć względy swej sekretarki Anny i bodaj poprowadzić ją do ołtarza.

Sprawa się zaczyna komplikować. Anna kocha Lucjana Rogoyewskiego, zubożałego szlachcica, który jednak l'czy na zwrot skonfiskowanych majątków rodowych. Tego się właśnie obawia Anna i dlatego nalega na mecenasa, by zaniechał prowadzenia procesu.

Ornitowicz pozornie zgadza się na to, lecz za kulisami prowadzi intrygę. Informuje więc Rogoyewskiego, że Anna już jest jego, powinien się więc „zemścić” i wziąć sobie np. Mirę. Rogoyewski bierze się na ten kawał. Ornitowicz wówczas zwraca się do Anny, aby oddała mu swą rękę wobec zawodu z Lucjanem. Anna się godzi. Jesteśmy więc świadkami przygotowań do ślubu, który doszedłby do skutku, gdyby nie interwencja dawnego znajomego Anny, dziennikarza Czupurka.

Jeszcze kilka komplikacji, nie wyłączając omdlenia panny młodej, i intryga Ornitowicza pali na panewce.

Autor z dużą werwą i pomysłowością odstąpił nam mechanizm całej współczesnej karuzeli wyzysku, szantażu, która dziś dominuje w życiu.

Że tak bywa, świadczą o tem różne większe czy mniejsze afery w rodzaju Kreugera, gdzie walka o pieniądze i kobiety nie przebiega w środkach. Ponieważ naiwnych nie brak, dobrze jest, gdy ze sceny padnie słowo choćby wyjąskrawione — ostrzeżenia.





NA FALACH CZASU

Od lat całych płynie przez ludzkość wzmożona fala zła. Zalewa ona swym szkodliwym namulem wszystkie dziedziny życia: politykę, gospodarkę, kulturę, obyczajowość, życie publiczne zarówno jak i prywatne.

Pycha, chciwość i wyuzdanie z najprostszych norm moralnych — oto czynniki zasadnicze tych nowych groźnych przemian, które wstrząsają cywilizacją europejską i ludzką wogóle.

W polityce wszystko odbywa się pod znakiem licytacji między krańcową reakcją i niemniej krańcowym radykalizmem. Stąd ustawiczne zamachy stanu z całym aparatem okrucieństwa, jako najważniejszy środek udowodnienia siuszości swego programu.

W Hiszpanji obala się „klerykalną monarchję, obarczoną piętnem inkwizycji”, poto, by zaprowadzić takąż „inkwizycję republikańską”, by mordować i palić kościoły.

We Francji pada ofiarą zamachu niepoczytalnego anarchisty sam prezydent Doumer.

Morderca, lekarz z zawodu, został z różnych krajów relegowany za dokonywanie niedozwolonych operacji ze spędzeniem płodu. W on pamiętny piątek 6-go maja strzelił do prezydenta Doumera. Jedno życie mniej, jedno więcej, cóż to znaczy dla takiego, co zawodowo „reguluje” przyrost naturalny!

Ta twarz ohydna, twarz rzeźnika, który ra wizera z fotografii przestępcy, oto, co dziś symbolizuje „człowieka cywilizacji”, świeżącego triumfy w zbrodni, szantażu, grabieży.

W Szanghaju komunista koreański rzuca bombę na sztab japoński, zgromadzony w dniu święta narodowego. W rezultacie wobec wspólnego niebezpieczeństwa sowieckiego następuje pojednanie japońsko-chińskie.

Lecz nie budzi ono zachwyty młodych Japończyków, szowinistów i imperjalistów. Dla protestu zamordowali premiera japońskiego. Młodzi chcą wojny, Wszędzie na świecie młodzież chce wojny,

o ile ją do wojny podszuczują, wszystko jedno w Japonji, w Niemczech czy w Polsce!

Zresztą Japonja bynajmniej nie z czystymi rękoma weszła do Chin. Zajęcie „chlebodajnej” Mandzurji, zbombardowanie Szanghaju — w imię największej choćby racji stanu — to nie jest legitymacja prawdziwego humanitaryzmu.

Walka z Europą przeciw wyzyskowi handlowemu, walka z Sowietami przeciw ich czerwonej agitacji, to są zapewne poważne racje, lecz ich poparcie błędne.

Właśnie oto chodzi, o sposoby działania.

Ludzie cywilizacji, a przedewszystkiem mężowie stanu zapominają, że cel nie uświęca środków.

Anglja walczy o rynek chiński, by utrzymać go dla zbytu opjum, produkowanego w Indjach za sumę 700 milionów. Sowiety propagują w Chinach komunizm, by zdobyć je dla eksportu... kokainy, produkowanej w chemicznych fabrykach, stworzonych przez piatiletkę.

Spójrzmy na Indje. Dla dogodzenia właścicielom kopalni złota w Afryce zaprowadza się w kraju braminów walutę złotą, zamiast srebrnej. Wprowadza to tak niesłychany zamęt w stosunkach finansowych Azji, że senat amerykański w kwestji srebra dopatruje się jednego z głównych źródeł kryzysu.

A nafta! Już stary Clemenceau wołał, że w historii świata za bardzo czuć naftę. Nietyle naftę, ile zaduch niegodziwych, niemoralnych sposobów walki o koncesje naftowe. Tak jest. Konkurencja zaiste rozbójnicza wydziera sobie źródła produkcji nafty. Dlatego Meksyk pławi się ustawicznie w rewolucjach, dlatego Anglja zajmuje Irak, dlatego Sowiety popierają rewolucję hiszpańską (pierwszą rzeczą p. Zamorry było podpisanie umowy naftowej z Sowietami i otwarcie bóżnic w Madrycie), dlatego lord Deterding, kierownik Royal Dutch Co, wielkiej spółki naftowej popiera Hitlera, gdyż liczy, że to pomoże mu skutecznie w rywalizacji z Sowietami.

Ludzie cywilizacji, a w tym wypadku businessmeni, zapominają, że cel nie uświęca środków.

Zda się przyłożyć zapałkę, a nafta wybuchnie i swym pożarem obejmie cały świat.

Zapałki. Ivar Kreuger — król zapałek, genialny szantażysta, który zdobył w ciągu lat powojennych majątek 8 miliardów, udzielił pożyczek 38 państwom. A może dobroczyńca? Tu kradnie miliony, uzyskując pożyczki na sfałszowane akcje, tam znów udziela pożyczek i subsydjów. To nie Napoleon, to Rinaldo Rinaldini finansów i przemysłu. Aż wreszcie przebrała się miarka. Łotrstwa Kreugera spryskiwały się innym możliwym tego świata, zwalcza go zwłaszcza Morgan, od którego dyspozycji zależy conajmniej 50 miliardów, ukrytych w różnych bankach.

Kreuger się wycofuje. Symuluje samobójstwo. Spalono trumnę z jego „zwłokami” w krematorjum. Dziś nie można już sprawdzić, kto i co? Słowem Kreuger staje się „mitem”. Prometeusz kradł bogom ogień, dziś Kreuger kradnie miliony za monopol zapałczany.

Jakżeż potwornym nieporozumieniem są stosunki gospodarcze świata, gdy urodzaj uważany jest za klęskę, gdy niszczy się produkty, aby podbić cenę, a jednocześnie tysiące i miliony ludzi mrze z głodu. Może katastrofa wulkaniczna w Ameryce Poł. napełni nareszcie radością świat, bo oto Bóg zesłał klęskę, która wyniszczyła pola i wytrzebiła trzody.

A więc korzyść z bezpłodności ziemi klęskę z urodzaju. Zaiste wilecza gospodarka przemieniła naturalny porządek w świecie ludzkim.

Dziś w kraju „prosperity” najkorzystniejszym zajęciem jest bandytyzm, przed którym wszystko się ugina, politycy, sędziowie, dziennikarze, opinja. Bandytyzm ten znalazł nawet swych apologetów. Jakiś dziennikarz i to wcale nie amerykański napisał, że dziś bandyci reprezentują jedyny, należyście zorganizowany w Stanach Zjednoczonych

element, że walczą z niedorzeczną prohibicją, że kto wie czy, gdy całe społeczeństwo jest niedołączne, nie do nich należy przyszość. Si non e vero, e ben trovato.

Cywilizacja europejska pod wieloma innymi względami wcale niepięknie zaprezentowała się w Indjach. Jej moralny urząd doskonale przedstawił Claude Farere w swych „Ludziach cywilizacji”.

Zresztą nie należy tu być jednostronnym i potępiać samych Europejczyków za ich igrzysko chciwości i demoralizacji. Nie ustępują im pod tym względem i sami Chińczycy, zwłaszcza na wzorach europejskich wykształceni. Dr. Sun-Yat-Sen, bohater narodowy odradzających się Chin dorobił się grubych milionów na swej akcji patriotycznej, a wdowa po nim jest jedną z najrzeczniejszych „głów interesu”.

Inny bohater chiński, gen. Fen-Hu-Hsiang, „generał chrześcijański”, umiłowany uczeń Y. M. C. A., organizacji metodystycznej, odznacza się okrucieństwem, przebiegłością i popieraniem komunizmu.

A nasza obyczajowość. Upiór z Düsseldorfu. Człowiek o mózgu klasycznie doskonałym, z punktu widzenia anatomji. A przecież całe jego życie, to jeden rynek zbrodni i wyuzdania.

Okazuje się, że w normalnych zwojach mózgowych może się mieścić nienormalna, niemoralna jaźń. Okazuje się, że można nie być potworem fizycznym, nie mieć nawet „sinej brody”, a być potworem moralnym. Lombroso się myli, sprwadzając wszystko do zagadnień biologji.

Jest coś ponad komórkami i materją, co może zakazić nawet ciało Appolina, jest coś, co może Efeba zepchnąć w błoto, co z Kreugera robi prawdziwą hydrę sturamienną, zatruwające życie gospodarce świata.

Można wyszminkować twarz, jak robił to zabójca tancerki, Zacharjasz Dorożyński, a jednak pod tą ponętną maską zawsze pozostanie upiorna twarz, zawsze z pod niej wyzierać będzie człowiek-zwierzę. Bo też nie w biologji, ani w kosmetyce znajdujemy odpowiedź na to, co uczynić, by człowiek był doskonalszy, piękniejszy, lepszy.

W kwestji kultury także nie wszystkie środki prowadzą do celu. Kultura, to nie jest znajomość najsubtelniejszych arkanów chemji, ani nie są to instytucje kalotechniki. Kultura może kryć się w ciele nieznaną pedicuru, pod siermięgą.

Można mieć twarz uróżowaną i mieć obcięte u fryzjera paznokcie, a jednak być moralnym troglodytą barbarzyńcą

z lasu, sinobrodym, wampirem, z Düsseldorfu, Dorożyńskim, Gorgonową.

Tu jest istota kwestji. Świat chwieje się w posadach, mimo, że skarbcie pękają od złota, że na wszystkich granicach stoją zbrojne wojska. Rozpada się cała nasza gospodarka, bo jest ona w ręku hochstaplerów. Rozpada się życie rodzinne, bo na progu małżeńskim stają różne Gorgonowe.

Choć nawet nie udowodnią tej ostatniej mordy, to jednak z przebiegu procesu widać, że atmosfera domu Zarembów była nasycona niezdrowymi pierwiastkami, że zło szerzy się w młodych duszach. Jak w takiej atmosferze mają się wychowywać dzieci moralnie zdrowe? Być może, nie będzie im nic brakować pod względem fizycznym, być może waga ich ciała będzie rekordowa, lecz waga czystości i szlachetności ich duszy opada stale ku dołowi!

Ludzie cywilizacji myślą się, mniemając, że za wszelką cenę można osiągnąć „radość życia”, że wprowadzenie w dom kochanki jest najważniejszym sposobem stworzenia rozbitego ogniska domowego.

Tam, gdzie nie opiera się życie na zdrowych podstawach moralnych, niema mowy o jego trwałości!

Tylko powrót do wskazań chrześcijańskiej etyki, może uratować świat od rozkładu i upadku, którego tyle groźnych zapowiedzi widzimy wszędzie dokoła.

Sensację w całej Francji, a niemniej w Europie, wywołał artykuł Edwarda Herriota, opublikowany w dzienniku „Le Démocrate” w Lyonie. Artykuł ten, przetelegrafowany natychmiast przez wszystkich korespondentów pism zagranicznych swych krajów, utrzymany jest w tonie niezwykle stanowczym i energicznym. Przyszły premier francuski gwałtownie atakuje niemieckie czynniki kierownicze za tolerowanie psychozy wojennej w Niemczech i oświadcza, że awantury, jakich świadkiem od kilku dni jest Gdańsk, nakazują przypuszczać, że są tylko wstępem do zbrojnego zamachu Niemców na Pomorze polskie i Wolne Miasto Gdańsk. W dalszym ciągu swego artykułu Herriot stwierdza, że Niemcy zalane są poprostu hitleryzmem, teraz zaś ośrodek swej akcji przenoszą do Gdańska, co najzupełniej słusznie podnieca opinię publiczną w Polsce. Przyszły premier francuski poddaje surowej krytyce budżet Reichswehry, rozdęty wręcz potwornie. Jeśli się porówna — pisze Herriot, — wydatki na Reichswehrę z wydatkami na inne cele, naprzykład na bezrobocie, prawdziwe oblicze Niemiec nabiera rysów wyraźnych. Jest to oblicze żołdaka, dążącego do awantury.

Przestrzegam ministra Brüninga i gen. von Schleichera — pisze Herriot — że całą akcją polityczną Niemiec, na którą już rzuciły fatalny cień pamiętniki Stresemanna, będą śledził z całą uwagą i nie zawaham się w decydującym momencie użyć wszystkich środków, jakimi będę rozporządzał, aby przeciwstawić się gwałtowi i bezprawiu.

Artykuł swój Herriot kończy oświadczeniem, że nigdy nie trzeba być bardziej czujnym, niż w chwili obecnej, i że wręcz nie ma odwagi mówić jakichkolwiek słów uspakajających pod adresem większości, która go wybrała. — Trzeba stwierdzić, że artykuł ten ministra Herriota przychodzi w samą porę i z prawdziwym zadowoleniem przyjęty będzie przez opinię nie tylko polską, ale i europejską. Nie ulega wątpliwości, że w Niemczech nagromadziło się wiele materiału palnego. Jest to zasługa Hitlera, który wyraźnie prowokuje wojnę, agitując zwłaszcza młodzież zapalną i niedoświadczoną. Niezależnie od szerokości geograficznej i barwy skóry młodzież jest zawsze skłonna do awantury wojennej. Świadczą o tem wyraźnie wypadki w Japonji i ostatni zamach dokonany przez młodych wojskowych marynarki. Pokolenie, które nie ma jeszcze lat trzydziestu nie posmakowało grozy wojny, pacyfistyczna propaganda wydaje im się przesadą tchórzcy. Niedowarzona krew burzy się, szuka ryzyka choćby w śmiertelnym szaleństwie. Jeśli się więc znajdzie ktoś nieodpowiedzialny, to zawsze w nieopatrznej młodzieży znajdzie podatny grunt do zbrodniczej akcji. W Niemczech tego rodzaju smutną rolę odgrywa Hitler. Potrafił on wywołać niebывałą panikę w Prusach Wschodnich, strasząc je widmem rzekomej „napaści” Polski. Dziś, jako zabezpieczenie przeciw tej groźbie, Hitler szykuje się do opanowania Gdańska. Ta zbrodnia polityczna — zapomina on o tem — będzie musiała być potraktowana przez Polskę podobnie jak bezpośrednie naruszenie naszej granicy. Sytuacja jest poważna. Ufamy jednak, że wbrew prowokacjom socjal-nacjonalizmu, zwycięży w Niemczech zdrowy rozsądek.

Wyniki prac rozbrojeniowej konferencji genewskiej, jak dotąd, przedstawiają się bardzo skromnie. Zebrano wprawdzie przed konferencją ogromny materiał drogą ankiety, ale poszczególne wnioski i projekty tak silnie odbiegają od siebie, że referent p. min. Benes musiał skonstatować niemożliwość syntetycznego ujęcia całości. W powodzi propozycji da się wszakże wyróżnić kilka charakterystycznych typów. Najdalej idzie projekt sowiecki, domagający się powszechnego,

natychmiastowego i zupełnego rozbrojenia. Projekt ten, zupełnie nierealny, był obliczony jedynie na efekt zewnętrzny dla propagandy komunistycznej. Sowiety zorjentowały się wszakże niebawem, że robota ta jest zbyt przejrzysta i gruboskórna, w stosunku do obecnego stanu zbrojeń każdego państwa, przy czem państwa które zawarły ze sobą konwencje wojskowe, byłyby traktowane łącznie. Na takim procederze wyszłyby najlepiej rozbrojone na papierze, jak Niemcy, lub takie, które rzekomo nie posiadają żadnych umów wojskowych (Rosja). Drugi typ stanowi projekt niemiecki, równie chytrze pomyślany jak sowiecki. Niemcy wskazują na traktat wersalski, który poczytywał rozbrojenie Niemiec za wstęp do rozbrojenia powszechnego i utrzymują naturalnie, że są należycie rozbrojone, domagają się, by inne państwa poszły ich śladem. Formalnie mają Niemcy pewną rację, cały sek w tem, że ich rozbrojenie jest tylko pozorem. Trzecią grupę tworzą projekty amerykański, angielski i włoski; żądają one ograniczenia lub skasowania pewnych gatunków broni (n. p. łodzi podwodnych), które są dla nich szczególnie niebezpieczne czy niewygodne, pod pozorem, że to broń specyficznie zaczepna. Najbardziej oryginalnym i najszczerzej pomyślanym jest projekt francuski, który dąży do usunięcia największej bolączki Ligi Narodów, głównego źródła jej słabości, t. j. braku egzekutywy. Przewiduje mianowicie utworzenie międzynarodowej siły zbrojnej, stojącej do dyspozycji Ligi którąby teraz mogła naprawdę egzekwować swe postanowienia i dać skuteczną ochronę słabszym przed napaścią ze strony silniejszego. Urzeczywistnienie tego projektu wzmogłoby niesłychanie poczucie bezpieczeństwa powszechnego, a tem samem doprowadziłoby do rzeczywistego zmniejszenia zbrojeń. Niestety projekt ten nie spotkał się z należytem poparciem u innych państw, co rzuca niezbyt korzystne światło na ich dobrą wolę co do istotnego ograniczenia zbrojeń.

W stosunkach wewnętrznych Polski jest w tej chwili cisza. Poważna sytuacja gospodarcza i polityczna przytłumiła nawet polot opozycji. Z różnych stron dają się słyszeć głosy o potrzebie konsolidacji narodowej w celu przewyciężenia kryzysu.

Trzeba zdać sobie sprawę z faktu, że w Polsce doszło rzeczywiście do najwyższego natężenia bezrobocia i, co jest właśnie jego przyczyną, zmniejszenie produkcji.

W niektórych dziedzinach przemysłowych sięga ona więcej niż połowy. Zapotrzebowanie żelaza w kraju z powodzeniem mogłaby zaspokoić jedna huta. A jednak żelazo jest jednym z najdroższych artykułów. Gdy ceny wszystkiego w koło, od żywności począwszy spadają, żelazo ledwie spadło o 10 %.

Są zresztą w Polsce artykuły pierwszej potrzeby, które wbrew wszystkiemu przejawiają nawet zwwyżkę. Są to produkty przemysłu skartelizowanego.

Również i komorne stoi na bardzo wysokim poziomie. Stąd domaganie się zrzeczeń lokatorskich o niższe komorne

go o 30 % w starych domach, 50 % w nowych domach.

Zniżka komornego w nowych domach mogłaby nastąpić o tyle, gdyby nastąpiło zmniejszenie stopy oprocentowania pożyczek długoterminowych. Zmniejszenie takie jest konieczne i możliwe, dość powiedzieć, że Tow. kredytowe ziemskie operujące kredytem długoterminowym zmniejszyło stopę procentową do 6 proc. Lepiej uratować kapitał przy niższym oprocentowaniu, niż wyśrubowywać procenty a przez to zniszczyć zabezpieczenie kapitału.

Rolnictwo pod względem kredytowym niewątpliwie znajduje się w trudnej sytuacji. Jego obciążenie krótko terminowe wynosi 1 miliard, co równa się wartości rocznego zbioru zbóż.

Jakkolwiek dzięki interwencji rządu udało się podnieść cenę zboża na 30 zł., przy 22 zł. kosztów własnych na quintalu, to jednak rolnik nie jest w stanie płacić lichwiarskich procentów. To też na jesieni oczekiwane są masowe licytacje, przy czem organizacje rolnicze domagają się, w celu uniknięcia zdewastowania warsztatów rolnych, prawa wyłączenia z pod licytacji krescencji.

Co do cen zboża to trzeba przyznać, że w stosunku do rynku amerykańskiego są one wyższe, w stosunku jednak do Berlina, Pragi, Wiednia — niższe.

Jednym z charakterystycznych przejawów kryzysu w Polsce są upadłości, które przybrały ostatnio wielkie rozmiary. Wzrost ich wynosi 188,2%. Upadają firmy stare, mające więcej niż dwadzieścia lat istnienia.

Najwięcej upada firm handlowych i to w dziale manufakturowym, który najłatwiej podlega wahaniom rynku.

Kapitał wszędzie się kureczy o czem świadczy wzrost o 100% upadłości spółek akcyjnych.

Przyczyną tego, jest niewątpliwie fakt, że sposób obciążania podatkowego spółek akcyjnych nie jest proporcjonalny do stosunku między ich kapitałem i dochodem, lecz obliczony według globalnej sumy. Więc np. spółka mająca 10,000 kapitału zakładowego i wykazująca 50.000 dochodu płaci taki sam podatek jak spółka o 20.000 kapitału i takimż

dochodzie. Jak w takich warunkach wygląda dywidenda? Jak można oczekiwać, by kapitał lokował się w akcjach?

Jednym z przejawów kryzysu są wielkie zaległości z tytułu opłat socjalnych. Zaległości te sięgają dziś 300 milionów złotych. Same kasy chorych mają dziś oko. o 100 milj. zaległości, których nie mogą ściągnąć, jeśli nie chcą zniszczyć warsztatów pracy. Przy 400.000 ubezpieczonych daje to ciekawy obraz tego wielkiego ciężaru.

Walka więc z nadmiernymi świadczeniami socjalnymi i podatkowymi, to, obok walki o niższe cen, jeden z najpoważniejszych postulatów chwili.

Do możliwości gospodarczych sezonu jesienno-wliczy należy deficyt zbożowy. Wskutek spadku używania nawozów spadła wysokość produkcji.

W r. 1929 zużyto 98.500 ton a produkcja wyniosła 98 milionów kwintali. W r. 1928 77.000 ton a produkcja 79 milionów.

Jak to się odbije na bilansie handlowym?

Nadmierne ceny niektórych produktów w Polsce, niewątpliwie spowodowane są przez nadmierne zyski kapitału zagranicznego, który w licznych dziedzinach obejmuje więcej niż połowę przedsiębiorstw. Z tym kapitałem i jego wzykiem trzeba przeprowadzić bezwzględną walkę, zarówno ze strony społeczeństwa jak i rządu.

Jak widzimy sytuacja nasza jest trudna. Na wielu polach musimy walczyć o elementarne potrzeby, w wielu dziedzinach produkcji z trudem utrzymujemy swe zdobycze. Spadek angielskiego funta podniósł zdolność konkurencyjną angielskiego węgla, to też polski węgiel zaczęto wypierać nawet z Gdańska. Co prawda na to mogło się złożyć szereg innych przyczyn natury politycznej. Ostatnio węgiel nasz zdołał odzyskać swą siłę konkurencyjną np. koleje szwedzkie zamówiły 32,500 ton.

Z Gdańskiem zaś niewątpliwie musimy przeprowadzić wojnę ekonomiczną. Ostatnio to bardzo szczęśliwe posunięcie uważać należy oddanie polskich okrętów do remontowania lotewskiemu portowi w Libawie. Najpierw kosztuje to o 40% taniej, a następnie kalkuluje się też politycznie.



Instytut radowy na Żoliborzu, którego otwarciem dokonała w ubiegłym miesiącu Marja Curie-Skłodowska.

Z PIŚMIENICTWA

JÓZEF ST. CZARNECKI. *Zmysły na licytacji*, Warszawa 1932.

Książeczka p. Czarneckiego wypełnia dotkliwą lukę w piśmiennictwie katolickim. Brak nam polemiki żywej, dowcipnej, działającej częstokroć tym samym orężem, co przeciwnicy. Na ten brak już Chesterton zwracał uwagę. Taki sposób obrony i atakowania jest zrozumialszy nietylko dla pisarzy ateistycznych i liberalizujących, lecz jedynie przeznaczony, by trafić do szerokich mas czytelników. Poważna rozprawa teologiczno-moralna dla umysłów niewyćwiczonych w myśleniu abstrakcyjnym jest często wlewaniem wina w miech dziurawy.

P. Czarnecki operuje nietylko argumentami logicznymi, ale i zręcznie zastosowaną anegdotą. A liberalne pojęcia o małżeństwie, rozwodach, wychowaniu dzieci i t. d. są niewyczerpaną kopalnią, dostarczającą materiału do ośmieszania ich własną bronią. Dość wziąć słynne poglądy B. Russela, które p. Czarnecki siusznie nazwał tworzeniem „stajni ropodowej” z matkami — „fachowcami” re-produktorkami.

Przeciwnikami, których atakuje p. Czarnecki są głównie Boy i boyomani (słynny artykuł w „Wiad. Liter.” „Zmysły... zmysły...” oraz smutnej sławy pionier i obrońca rozwodnictwa, prof. Lutoszański. Z wielką zręcznością polemiczną p. Czarnecki wykazał braki logiczne i potworne konsekwencje projektu prawa małżeńskiego p. Lutostańskiego. Jego akcja polemiczna jest dywersją na flankach dla prac poważniejszego kalibru, jak ks. J. Urbana: „O zdrowe ustawodawstwo małżeńskie w Polsce”, Kraków 1929 i dwóch artykułów: „Małżeństwo między państwem a kościołem”, i „Jak bronić małżeństwa?” (Przegl. Powsz. czerwiec 1929 i grudzień 1931 roku), ks. St. Podoleńskiego „Rozwód a zdrowie narodu, Studium moralno-społeczne”, Kraków, wyd. ks. ks. Jezuitów i inni.

Autor zwalcza dwie choroby współczesności: panseksualizm i brak uduchowienia, idealizmu. Rozwydrzenie seksualne i exhibicjonizm naszych czasów stały się kamieniem węgielnym wszelkich radykalizmów. Jak daleko odbieglśmy od czasów przedwojennych, kiedy nawet w szeregach rewolucjonistów byli społecznicy — asceci, ludzie pochłonięci nauką i ofiarnictwem społecznym i uznający wartość czystości płciowej, w której mężczyzna powinien dorównać kobiecie.

Nietylko niereligijność, lecz i brak zainteresowań społecznych i umysłowych, brak ideowości jakiegokolwiek rozwija panseksualizm. I teraz już nic go nie potrafi zahamować, prócz rozlania się wiary i jej wpływu wychowawczego na masę. Bo większość kryterjów, które, utrzymywa. y psychologię wierzących i nawet niewierzących poza kościołem w pewnej spoistości teraz zupełnie się rozchwiała.

P. Czarnecki w pierwszej części zwalcza szkodliwe narośle obyczajowe w społeczeństwie, w drugiej — krytykuje objawy rozkładu w powieści, teatrze, filmie. Należy on do tych nielicznych pisarzy, którzy do krytyki literackiej wprowadzają sprawdziany etyczno-religijne.

Oczywiście, po oczyszczeniu różnych stajni augjuszowych, nawet w głowach katolików dobrej woli, którzy przyzwyczaili się tolerować i popierać objawy seksualizmu i amoralizmu w sztuce na marginesie wiary, albo też właśnie wiarę umieszczać na marginesie amoralizmu — po oczyszczeniu tem krytyka katolicka będzie mogła więcej miejsca udzielić zagadnieniom estetycznym i ogólnie literackim. I powinna to uczynić, aby ze względu na swą fachowość i wartość literacką nie można było jej w ogólnej produkcji literackiej przeoczyć. Zaś strona literacka zmusi do zajęcia się stroną ideową.

Pomysł p. Czarneckiego zajęcia się w formie literackiej i dowcipnej zagadnieniami palącymi dnia dzisiejszego i trafienia w ten sposób do szerszej publiczności należy uważać za całkowicie udatny, pod względem treści i formy. Szeroka skala zainteresowań autora, czytanie jego, bystra spostrzegawczość i doskonała argumentacja, każą życzyć, by nie na tem skończyła się walka jego o prawdę i czystość życia. A. Z.

D. G. LEFEBVRE O. S. B. *Mszał Rzymski*. Wydanie łacińsko-polskie. Przekład polski poprawiali: ks. dr. Stefan Świątlicki i ks. Henryk Nowacki. 18^o str. 1934 + 80 + 64. Do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny: Wydawnictwo „Verbum”, Warszawa, ul. Wolności 4.

Dzięki niezmiernym bojownikom ruchu liturgicznego w Polsce, ukazał się na półkach księgarskich pierwszy cały mszał łacińsko-polski, jako tłumaczenie francuskiego wydania benedyktyna G. Lefebvre'a z opactwa św. Andrzeja w Lophem

(Belgja). Mszał rzymski w polskiej szacie wybija się na naczelną miejscę z pomiędzy wszystkich tegorocznych wydawnictw religijnych w Polsce. Spada on jak rosa ożywcza na naszą posuchę duchowną, na naszą częstokroć jałową i zbyt subiektywną religijność. Mszał taki był bardzo pożądanym, bo zakorzeniło się u nas nieszczęśliwe wyrażenie: słuchania mszy świętej, zamiast uczestniczenia w ofierze mszy świętej. Istotnie jakże często wierni są tylko obojętnymi widzami czynności liturgicznych kapłana. Nie rozumieją tych czynności, nie korzystają też z obfitych skarbów, płynących z liturgji mszalnej, nie czerpią ze mszy świętej sił do prawdziwego życia chrześcijańskiego, nie są przejęci prawdziwym duchem kościelnym. Mszał łacińsko-polski na wszystkie dni roku kościelnego — ta główna księga liturgiczna, utkana z najpiękniejszych ustępów Pisma Świętego, stanie się dla nas kluczem do należytego zrozumienia liturgji mszalnej, otworzy nam niewyczerpaną skarbnicę łask, płynących z każdej ofiary mszy świętej, nauczy nas uczestniczyć we mszy świętej i modlić się w duchu Kościoła

Format mszału jest bardzo wygodny; treść również jest praktycznie rozłożona tak, że i nieobeznany z formularzem mszału prędko się zorientuje. Dziwić się należy, że w tej małej na pozór książce zdołano skupić tyle materiału. Oprócz zwyczajnych bowiem tekstów mszalnych na każdy dzień roku kościelnego, mszał łacińsko-polski zawiera nadto objaśnienia i wstępy do każdego formularza mszalnego, dalej niektóre części brewjarza (Nieszpory, Kompletorium), mieści w sobie także wyjątki z rytuału, podaje w nowoczesnej notacji całe Kyrieale (melodje stałych części, śpiewanych podczas mszy św.), zawiera patronał polski t. j. msze do wszystkich patronów i świętych, czczonych w Polsce, i wreszcie jest bogato ilustrowany obrazami symbolicznymi. Cena jest stosunkowo bardzo niska. Już za 17.50 zł. można otrzymać mocny egzemplarz oprawny. Od 21.00 zł. wzwyż do 29.50 zł. oprawa skórzana i egzemplarze ozdobne. Mszał ten będzie miał zapewnione powodzenie zwłaszcza w dobie wzmagającego się w naszym kraju ruchu liturgicznego. St. W.

Dział Kobięcy

DLA DUSZY.

Pomnij często na tę przypowieść: nie nasycy się oko widzeniem, ani się ucho napętnia słyszeniem.

Usiłuj przeto odciągnąć twe serce od zamięłowania rzeczy widomych, a zwracać je ku niewidomym.

Albowiem, którzy idą za zmysłowością kalają sumienie swoje i utracają łaskę Bożą.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

HOŁD KOBIET WSPÓŁCZESNYCH ZŁOŻONY ELIZIE ORZESZKOWEJ

Nie jest postępem, stawiając nowe gmachy — dziś, burzy wszystkie stawiane — wczoraj.

Ale jest prawdziwym postępem, ulegając nowym prądom, co sprawia niepowstrzymany ruch myśli człowieka i jego dążeń do nowych zdobyczy, umieć szanować te dorobki, które tworzą jego historję, świadczyć o rozumnych i szlachetnych dążeniach jednostek, a, należycie uszanowane, ciągnąć się nieprzerwaną nicią w wieczne trwanie narodu i świadczyć o jego kulturze.

Kobiety postępowe — dodać należy, z wyższem wykształceniem — w piśmie p. t. „Kobieta Współczesna”, na czele którego stoi p. Emilja Grocholska, dr. filozofji, a komitet redakcyjny tworzą pp. H. Boguszewska, J. Jabłowska, Cz. Wojeńska, wszystkie zdolne publicystki, dały wyraz pięknie pojętego obowiązku względem przeszłości, poświęcając cały numer znakomitej piarsce naszej Elizy Orzeszkowej.

W słowie wstępnem Redakcja motywuje właśnie „bliskość ideową, idącą ku nam — kobietom współczesnym, ze wszystkich utworów Orzeszkowej, co zniewala i nakłada na nas moralny obowiązek przypomnienia społeczeństwu o wielkiem sercu i wielkiej myśli zapomnianej pisarki“. A po tem wyznaniu, tak pięknie świadczącym o duchowej treści tych, które tę pracę podjęły — na kilku arkuszach druku dobrane siły, w lapidarnych słowach, streszczają dorobek długich lat trudu i niezmężonej pracy kobiety, której życie trzeba znać i poznać.

P. Helena Boguszewska w jędrnym skrócie kreśli dzieje duszy Seweryny, jednej z entuzjastek a bohaterki powieści: „Dwa bieguny“ i „Ad Astra“.

Ogólny zarys twórczości Orzeszkowej pisze wytrawny krytyk i przyjaciel jej, A. Drogoczewski, omawiając także jej stanowisko wobec prądów pozytywizmu, które jednak ogarniały najszlachetniejsze umysły młodych pisarzy, a dożgonne węzły przyjaźni, wiążące z wieloma z nich Orzeszkową, świadczą, że nie potępiła w czambuł kierunku, który wywołał rozpaczliwy stan kraju po ostatniem powstaniu 1863 roku. P. Stefan Kołaczkowski zaznacza, że Orzeszkowa w swej przedmowie do zbioru nowel zatytułowanych „Melancholicy“ daje wyjaśnienie przyczyn upadku kultury i przewyższa

w tym wstępie w prostocie i jasności wszystko, co u nas w XIX wieku o tem napisano.

P. Zofja Szmydtowa mówi o stanowisku Orzeszkowej wobec tak często potępianych powstań narodu, nie mogącego znieść więzów niewoli, i stwierdza jej dla nich uwielbienie, jako dowodu miłości, męstwa i ofiary tych rycerzy wolności narodu. P. Irena Jabłowska twierdzi, że wszystko niemal co Orzeszkowa w sprawie stanowiska kobiet mówiła, nic się nie zestarzało, i że można niestety dziś powtórzyć za nią: „Że stałyśmy się oświecenijszymi i mniej od całej pracy zależnemi — to jest wiadome, lecz na całym widnokręgu spraw i działań naszych niema dowodów, abyśmy się stały sprawiedliwszymi, lepszymi, czystszy, surowszymi dla siebie, silniej z niedolą ludzką współczującymi“.

Dalej w całości czytamy piękne listy Orzeszkowej pisane do A. Drogoczewskiego, Marji Konopnickiej, Józefa Kotarbińskiego, które omawia p. Cz. Wojeńska. Krótkie wspomnienie kilku chwil spędzonych z Orzeszkową L. Kotarbińskiej i pełne entuzjazmu wspomnienia serdecznem piórem kreślone przez p. J. Holenderską.

Na podstawie opowiadań p. Ostromeckiej, przyjaciółki Orzeszkowej, p. J. Jabłowska daje obraz, którego tytuł: „Dom i serce otworem“ i opowiada o tej gościnności, dobroci i o tej niewyczerpanej potrzebie czynienia dobrze drugim — jakiej doznawał każdy, kto się do tego domu zbliżał.

I nareszcie p. E. Dębicka z żalem, a może więcej, niemal ze wstydem i bólem stwierdza, że w tej chwili nie mamy już nigdzie całkowitego, pełnego wydawnictwa dzieł Orzeszkowej.

Liczne, ciekawe zdjęcia i faksymile, zakończone widokiem szeroko rozlanych wód Niemna, kończą ten piękny dokument rozumu i serca — kobiet współczesnych — zgromadzonych w redakcji ich tygodnika.

Czytelniczki „Kobiet Współczesnej“ wyczują wielką szlachetność wysiłku z jakim wyszedł numer poświęcony życiu i twórczości Elizy Orzeszkowej I, jeżeli dotąd szanowały pracę, podawaną im zawsze w pożytecznej treści i doskonałej formie — to odtąd nietylko cenić — ale kochać ją będą.

L. Kotarbińska.

PRZED WYBOREM ZAWODU

Znów tysiące młodzieży stają przed palącymi pytaniami: Jaką drogę obrać? Czego się uczyć dalej? — by móc „zarabiać na życie” i „nie być ciężarem rodzinie i społeczeństwu”.

I znów zbyt mała ilość i młodzieży i rodziców zdaje sobie sprawę z konieczności skorzystania z pomocy tych poradni, które u nas już od kilku lat istnieją.

Badania, przeprowadzone przez Instytut psychotechniczny na zlecenie kuratorium okręgu szkolnego warszawskiego w r. 1927/28 nad młodzieżą szkół zawodowych, wykazały, że w poszczególnych szkołach liczba *nieodpowiednich* do danego zawodu jednostek ze względu na ich stan fizyczny sięga 20% do 70%. Statystyka wypadków w fabrykach i większych przedsiębiorstwach użyteczności publicznej wykazała, że przyczyną ich niezawsze jest niedbalstwo, zła wola lub wyjątkowy stan psychiczny sprawcy wypadku, często prosto nie można było wykryć przyczyny prawdziwej. Dopiero, przeprowadzone dla zapobieżenia stratom, wynikającym z tych dość licznych wypadków, badania wykryły u sprawców ich takie cechy fizjologiczne lub morfologiczne, które uniemożliwiały im prawidłowe wykonywanie czynności (jedne zawody wymagają dobrego słuchu, inne dobrego wzroku, inne szybkiej orientacji przy wykonywaniu szybkich ruchów itp.).

Bez dokładnego zbadania przez lekarza stanu zdrowia i sprawności fizycznej, prosto nie wolno decydować o wyborze zawodu.

Tak samo ważne jest psychotechniczne zbadanie zdolności, które przeprowadzają psychologowie w pracowniach, istniejących obecnie już we wszystkich wielkich miastach Polski. Dopiero na skutek tych badań wychodzi na jaw niesłychana ilość omyłek, jakie popełnia się, wybierając sobie zawód na mocy tylko: „toby mi się podobało” albo wskutek naśladownictwa drugich (owczy pęd na metalurgię w ostatnich latach) czy „życzenia rodziny”. A potem ludzie tacy dziwią się, że czują się nieszczęśliwi, pracują bez zamięłowania i „do niczego dojść nie mogą”.

Niewątpliwie, że nawet na mocy badań psychotechnicznych nie można z całkowitą pewnością określić, że w tym to właśnie zawodzie (mamy przecież 15.000 zawodów!) osiągnie się największe zadowolenie osobiste z pracy i najlepsze wyniki, — jednak za to z całą pewnością można się dowiedzieć, do jakiego zawodu *nie* jest się przydatnym.

A to jest bardzo dużo.

Świat nie zważa na to, czy ktoś jest prawnikiem czy szewcem, doktorem czy kupcem, — żąda tylko, by był mistrzem w swoim zawodzie, a już conajmniej sumiennym i sprawnym pracownikiem, — partaczy nie znosi.

Kiedy więc wybór dokonany był właściwie? Czy tylko wtedy, gdy dany człowiek „zdobył powodzenie i bogactwo”? — Nie. Wybór jest wtedy odpowiednim, gdy praca odpowiada całkowicie zdolnościom i upodobaniom człowieka, i gdy daje radość, a nie jest traktowana tylko, jako środek zarobku. „Zadanie każdego człowieka rodzi się razem z nim” — mówi jeden z filozofów. Trzeba tylko znaleźć tę swoją „własną drogę”, a potem iść nią wytrwale, zwalczając trudności i wyciągając naukę nawet z porażek.

Musimy pamiętać o świetnym powiedzeniu Tennysona, że istnieją trzy ogromne siły, które każdy opanować może: szacunek dla siebie, znajomość siebie i panowanie nad sobą. Można też dodać, że są tylko trzy rodzaje ludzi na świecie: ci, którzy wiedzą, czego chcą i *chcą* to osiągnąć, — to są zwycięscy; ci — którzy wiedzą, ale się lenią albo czekają na *okazję*, — to są zawałidrog i ci — którzy *nie mogą*, to są zwyciężani.

I jeszcze jedno:

Kto postawi sobie w życiu cel wysoki, godny Chrystusowego żołnierza — ten pracę swoją przepoi Jego odblaskiem, choćby był najskromniejszym pracownikiem.

To wszystko winni mieć na uwadze rodzice i młodzież, zanim zdecydują się na wybór zawodu.

Istnieją w języku polskim 2 prace, które mogą stać się pewną pomocą przy decyzji: inż. W. Hauszylda „Poradnictwo przy wyborze zawodu” i Instytutu psychotechnicznego w Warszawie „Zestawienie braków fizycznych i stanów patologicznych w zakresie zawodownictwa”.

Bezwzględnie jednak radzić należy, by zwracano młodzież o zbadanie do poradni psychotechnicznych. Jeśli chodzi o prowincję, to adresów najbliższych poradni udzieli listownie Instytut warszawski. Poza tym istnieją specjalne poradnie dla dziewcząt, prowadzone w Warszawie, Poznaniu, Wilnie, Toruniu i Grudziądzu przez stowarzyszenie dyrektorów i nauczycielek szkół zawodowych „Służba Obywatelska” (nie mieszać ze związkiem pracy obywatelskiej kobiet — to zupełnie inna organizacja). Adresy ich wskaże każda szkoła zawodowa państwowa.

Z. Zaleska.

CZY WARTO?

Pracom przygotowawczym, które poprzedzały pokaz Gospodarstwa Domowego towarzyszyły zewsząd podsycane powątpiewania: „czy warto”? Czy warto w tak ciężkich i niepewnych czasach rzucać się na jakąkolwiek imprezę, zakrojoną na szerszą skalę? Przecież ten przyniatający, powszechny kryzys wyzwał ludzi zarówno inicjatywy jak woli. Związek Pań Domu, który jako jedyna organizacja kobieca, poświęcająca wszystkie swe wysiłki dla sprawy uświadomienia gospodarczego kobiet, uznał, że właśnie ciężki okres, jaki przeżywamy, skłania tym więcej do rozwinięcia akcji praktycznej.

To też komitet wystawowy zdecydował w szczupłych ramach lokalu własnego Związku Pań Domu w Warszawie przy ulicy Nowy Świat 9 skoncentrować na „Pokazie Gospodarstwa Domowego” cały bujny dorobek swych prac teoretycznych i praktycznych z ostatniego trzyletniego okresu. Celem Pokazu było zaznajomienie społeczeństwa w terenie pracy i zakresem działalności Związku Pań Domu oraz instytucyj ze Związkiem pracujących. Poza tym wykazanie korzyści praktycznych jakie mogą osiągnąć panie domu z należenia do Związku przez wprowadzenie przez Związek ulepszenia i ułatwienia w dziale

urządzeń i prac domowych. Wreszcie intencją najistotniejszą komitetu wystawowego było pobudzenie pań do popierania przemysłu krajowego, a kupców i przemysłowców przekonanie o konieczności wytwarzania w kraju i propagowania w handlu jedynie racjonalnych sprzętów i narzędzi użytku domowego.

Frekwencja publiczności na wystawie, która trwała od 21 maja r. b. do 19 czerwca 1932, oraz zainteresowanie sfer przemysłowych, kupieckich i opieka jaką otoczyli Pokaz Gospodarstwa Domowego przedstawiciele świata municypalnego i pedagogicznego oraz Warszawska Izba Przemysłowo-Handlowa, zdają się potwierdzać najwymowniej, że cel i założenie Pokazu zostały w całej pełni osiągnięte. Gospodarstwo domowe jest pracą zawodową której trzeba się uczyć. Na tem stanowisku stoi Związek Pań Domu i dlatego metodą poglądową przedstawił to na Pokazie.

Jak dalece zmysł organizacyjny przeniknął umysłowość Zarządu Z. P. D. świadczyło umiejętne skoncentrowanie w sześciu pokojach całego materiału wystawowego i rozmieszczenie go w ten sposób, że poszczególne wnętrza stanowiły wyodrębnione całości.

Na specjalną uwagę zasługiwały trzy typy kuchni: 1) kuchnia-pokój jadalny, 2) kuchnia wzorowa, luksusowa dla liczniejszej rodziny, oraz 3) kuchnia racjonalna, skromna, dla rodziny niezamożnej.

Pokój-kuchnia dla małej rodziny urzędniczej lub robotniczej zawierała: stół do pracy z szafką wiszącą na produkty, kuchenkę gazową dwupaleniskową z piecykiem, stolik na kółkach do podsuwania potraw w czasie posiłku i odkładania zużytych naczyń. Stół owalny z kłapami, kredens, zmywalnia-szafka, ławka-skrzynia oraz komplet naczyń kuchennych i stołowych dopełniały całości.

Kuchnia wzorowa składała się z kredensu z kompletem naczyń i podręczną spiżarnią, stołu do pracy z dołgotowywaczem, stolika na kółkach, pieca kuchennego, gazowego, zlewu porcelanowego, zmywalni kamionkowej i blatami do składania naczyń oraz szafy na przyrządy gospodarskie jak wszelkie szczotki, wyżymaczki, żelazka, kocioł i t. p. i szafy służbowej z łóżkiem wstawianem, na wypadek jeśli niema służbowego pokoju.

Kuchnia racjonalna rodziny niezamożnej ograniczała się do rzeczy niezbędnych, a więc posiadała: stół do pra-

cy z półką na produkty, stół ze zmywalnią, kredensik z porcelaną i naczyniami oraz suszarkę i wiadro na odpadki otwierane automatycznie.

Małe środki — duże korzyści! Maksyma ta widniała na transparentach i przewijała się wszędzie w praktycznym zastosowaniu.

Nietylko jednak o potrzebach gospodarskich pań domu w mieście zatroszczono się na Pokazie Gospodarstwa Domowego. Dział gospodarstwa domowego na wsi z uwzględnieniem niedostępności pomocy elektrycznych i gazowych zorganizowała Sekcja Gosp. Dom. przy Stow. Zjednoczonych Ziemianek. Nie brakło działu higieny osobistej i ogólnej, środków aseptycznych, pyłochłonnych, służących do prania chemicznego, walki z robactwem i innych.

Kącik dziecka zawierał ostatnie zdobycze techniczne z tej dziedziny. Uwzględniono również estetykę wnętrza domu. Piękne meble wystawiła Zofja Raczyńska-Arciszewska, hafty i poduszki na dywany ręczne — Maryla-Smakowska, kilimy — Marja Makowska, a szkła i porcelanę dostarczyli Aleksander Łakomski i Zawiercie.

Jeśli chodzi o teoretyczną, naukową stronę przygotowania kobiety do jej zadań pań domu, to Pokaz Gospodarstwa Domowego i tu stanął na wysokości. Zgromadził bowiem modele biblioteczek dla pań domu na wsi i w mieście, podał przegląd piśmiennictwa kobiecego, a redakcja miesięcznika „Pań Domu” dała dowód raz jeszcze, jak poważne i niezastąpione stanowisko zajmuje w dziedzinie fachowego piśmiennictwa gospodarskiego.

Po tym pobieżnym zresztą przejrzeniu dorobku Pokazu Gospodarstwa Domowego trudno roztrząsać „czy warto było organizować wystawę”?

Po stokroć warto! Pomijając stronę finansową, która w obecnych warunkach, trudno, aby była zadawalająca, sukces moralny, jaki święci dziś Związek Pań Domu jest tak wielki, że wynagradza wielkie poniesione trudy i kłopoty.

A przeświadczenie wewnętrzne, jak się jest politycznym dla szerokiego ogółu społeczeństwa kobiecego, będzie niezawodnym bodźcem do dalszych wysiłków Związku Pań Domu w dziedzinie rozbudowy nauki domoznawstwa pośród polskich gospodyń.

Marja Ankiewiczowa.

UBRANIE PRZY PRACY BIUROWEJ

Gdyby mnie kto zapytał — co najpilniej w zakresie ubrania kobiecego należy zmienić, odpowiedziałabym: Ubranie do pracy.

To też z radością wyczytałam wiadomość, że dawno propagowany przezemnie system ubrania kobiecego do zajęć zawodowych znalazł się na szpaltach „Dziennika Urzędowego Ministerjum Sprawiedliwości” (Nr. 10 z dn. 1 czerwca r. b.). Okólnik p. ministra sprawiedliwości Michałowskiego ogłasza, że wymagane jest, aby urzędniczki, pracujące w tem ministerjum i wszystkich instytucjach wymiaru sprawiedliwości, to jest w sądach, prokuraturach i więzieniach nosiły płaszcze biurowe, według opisu i wzoru zawartego w tym okólniku.

Płaszcze te mają być z lekkiego czarnego materiału z wyłożonym kołnierzem i paskiem z tegoż materiału. Długość 25 centymetrów od ziemi.

Obowiązek stosowania się do powyższego rozporządzenia wejdzie w życie z dn. 1 lipca r. b.

Nareszcie!

Bo na całym świecie, w żadnym biurze, banku, kasie, na poczcie, w żadnej redakcji, nie widzi się takiego lekkomyślnego braku oszczędności ubrania, jak właśnie u nas, a jednocześnie tak niestosownego ubrania, jakie widzimy w każdym biurze: magistratu, ministerstwa, kasy, poczty i t. d.

Temat ten był poruszany niejednokrotnie, na łamach pism. „Świat”, w swoim czasie, dawał artykuły które wywołały polemikę na jednym z zebrań kobiecych. Były nawet głosy urzędniczek, które czuły się dotknięte tem, że chce im ktoś doradzać zmianę stroju, kiedy one „mają prawo, za swą pracę, nosić to, co im się podoba”.

Aż może okólnik Ministerstwa Sprawiedliwości znajdzie naśladowców w innych instytucjach i kobiety przy pracy, przestaną nosić suknie, zupełnie do niej nie odpowiadnie.

Na razie, oczywiście, niespodziewany wydatek zachwieje budżetem, który z miesiąca na miesiąc się kurczy. Ale, jakże sownie wypłaci się to, w oszczędności całorocznej i co prawda przyczyni do zharmonizowania tego, co dotąd bywało mało estetyczne.

Mundur, od czasu jak zaczął być naszym polskim, nabrał praw obywatelstwa — nie razi a odznacza. Dlaczego by nie miały przyjąć z zadowoleniem kobiety tego munduru, który ze wszechmiar stanie się niezawodnie praktyczny i nadal pożądany.

L. K.

WYSZYCIA PODHALAŃSKIE

Wzdłuż południowej granicy Małopolski ciągną się urocze zbocza gór zwane Podhalem. Okolice te zamieszkuje lud góralski, dzielący się na kilka szczepów, a wśród nich dają się wyodrębnić Górale beskidowi, Podhalanie, Kliszczaki i Lachy sądeckie.

Podhalanie zamieszkują północno-wschodnie stoki Tatr w pobliżu Spisza, Zakopanego i Nowego Targu.



W zakątku tym od bardzo dawnych czasów kwitnie zdobnictwo w rzeźbie, budownictwie, wyszyciach i haftach.

Wzory zdobnicze oparte bywały przeważnie na motywach kwiatowych, rozrastających się zwykle z gwiazd, serc, lub renesansowych wazonów.

Do dziś zachowały się jeszcze piękne wyszycia na portkach, serdakach i coraz bardziej zanikających, białych cuchach. Na tym szczytkowym stroju podhalańskim wyszywane bywały oryginalne „kwiatecki“ zwane

„róziczkami“ oraz gwiazdy z kilku barwnych promieni. Gwiazda na fotografii znaczona jest na czterech promieniach literami: cz. czerwony, z. zielony, ż. żółty, n. niebieski. Te cztery barwy powtarzają się wokół.

Obok gwiazdy leży gałązka z zielonemi listkami i „róziczkami“, w trzech odcieniach pomarańczowych. Środkowa, najciemniejsza paleczka wyszyta jest ścięciem płaskim, dwie dalsze ścięciem dzierganym. Drobne listeczki na szczycie kwiatu są jasno zielone. Wdzięczne te zdobinki można stosować z powodzeniem do przybrania dziecięcych, letnich sukienek. Podajemy cztery miniatURY takich sukienek dla dzieci od lat czterech do dwunastu. Wymiary sukienek stosowane muszą być do wzrostu dzieci, tu zaś podajemy tylko sposób wykrojenia formy z papieru i przystosowania jej do wymiarów rzeczywistych.

Do sukienki dla dziewczynki sześciolletniej w rodzaju chelopki z szelkami można zastosować lekką, białą batystową bluzeczkę z krótkimi bufiastymi rękawkami. Sukienki takie z białego, lnianego płótna ozdobione kolorowym haftem w połączeniu z białym batysem są bardzo efektowne i miłe dla oka.

Płócienną sukienkę bardzo łatwo można wyprać, a nawet wygotować jak zwykłą bieliznę. Musimy jednak użyć do haftu bawełnę D. M. C. i przed rozpoczęciem roboty sparzyć ją w gotującym się occie. Po sparzeniu w occie trzeba splukać w zimnej wodzie, następnie wysuszyć i między dwoma płatami dobrze wymaglować. Nić nabierze z powrotem blasku i miękkości.

Marja Stefkowa.

ECHA — Z UBIEGŁYCH DNI

Uroczyste wręczenie nagród miasta Warszawy, odbyło się na posiedzeniu rady miejskiej. Tegorocznymi laureatami byli: Xawery Dunikowski (nagroda artystyczna), Józef Weysenhoff (nagroda literacka), Emil Młynarski (nagroda muzyczna), prof. Emil Godlewski (nagroda naukowa). Uroczystość miała charakter podniosły i serdeczny.

W 60-lecie zgonu Moniuszki, twórcy wiecznie pięknej opery „Halka“, odbyły się uroczystości muzyczne, zainicjowane przez „Mazowiecki Związek polskich stowarzyszeń śpiewaczych i muzycznych“ z prof. Antonim Ponińskim na czele. Bogaty program przyjęła gorąco publiczność, oddając hołd pamięci wielkiego artysty. Dochód zaś z przedstawień i akademij, przeznaczono jako zapoczątkowanie funduszu na budowę pomnika Moniuszki w Warszawie.

Polskie Tow. Krajoznawcze i Polski Touring-Klub, połączyły się, co niezawodnie będzie z pożytkiem dla wszystkich spragnionych ułatwienia w poznawaniu własnego kraju, którego piękności wobec nieuregulowanej komunikacji i braku informacji, są d'a wielu z nas niedostępne. Bo jakże tu zapraszać cudzoziemców, kiedy

my sami mało wiemy czy i gdzie możemy się oprzeć jadąc, choćby nie dalej jak w Góry Sto-Krzyskie, na jeziora w Suwalszczyźnie, w cudne okolice Wilna i t. d. i t. d. Świetne nasze Towarzystwa złączone dają pełną gwarancję, swą dotychczasową pracą i energią, że zaprowadzą ład w tak dotąd zaniedbanej sprawie turystycznej, a dającej tyle rozkoszy i radości życia.

Adam hr. Branicki złożył na ręce Pana Prezydenta Rzeczypospolitej wspaniałe i cenne dary, ze swych zbiorów w Wilanowie, dla przyszłej biblioteki stanisławowskiej. Składają się na nie obrazy wartościowe 15 000 złotych i 50 000 tomów biblioteki wilanowskiej.

Zrzeszenie rzemieślników chrześcijan, to instytucja, z której zawsze wychodzi szlachetna i piękna inicjatywa. Taką była uroczystość uczczenia pamięci szewca Kilińskiego, tego patrioty i bohatera, który w roku 1794, umiał zagrozić swym męstwem brać rzemieślniczą i rozbić hufce moskiewskie, które, wszedłszy do Warszawy, miały wykonać rzeź na jej mieszkańcach. Słusznie stan rzemieślniczy chlubi się tem wspomnieniem i mimo zastoju, w odezwie swej zachęca do pracy, wytrwania z wiarą w lepsze jutro.

Członkowie stowarzyszenia opieki nad rodakami zagranicą odbyli drugi walny zjazd w Warszawie. Obradom przewodniczył b. konsul polski w Berlinie, poseł Zieliński. Pracują trzy sekcje: oświatowa, propagandowa i opieki wogóle. Działalność się rozwija, obejmuje prowincję. Dzieciom wysyła się: gry, mapy, obrazki ścienne, potrzeby naukowe. Prowadzi się akcję wśród żołnierzy Legji cudzoziemskiej oraz nad samotnymi kobietami, zatrudnionymi na fermach we Francji. Wygłasza się odczyty wśród wychodźców. Ks. kr. Janicki mówił na temat: „Zadania religijne w działalności opieki polskiej”, a ks. red. pisma „Poland America”, z Nowego Jorku, dał wzory cennych wskazań działania. „Dzień Opieki” ma się odbyć 2 października r. b. dla przysporzenia funduszów.

Dzieci polskie z Niemiec przyjeżdżają na miesiące letnie do Polski w liczbie 6.500. Z tych 3.500 z Niemiec i 3.000 ze Śląska; pierwsze transporty dzieci przybędą na kolonie letnie w czerwcu, następane w lipcu.

Uroczyste otwarcie „Instytutu Radowego w Warszawie”, na którego murach widnieje napis: „Marji Skłodowskiej-Curie w hołdzie” odbyło się w obecności przybyłej z Paryża wielkiej naszej uczoney. Otwarcie zaszczycił swą obecnością Pan Prezydent Rzeczypospolitej, p. Szpotański, zastępca prezydenta Z. Słomińskiego, wielu przedstawicieli wojska oraz instytucyj naukowych. Gmach poświęcił J. E. Ks. Biskup Szlagowski. Otwarto ukończony już pawilon leczniczy wraz z aparatami Roentgena. Cze-

C O R O B I A ̄ K O B I E T Y ?

Rada Narodowa Polek, której przewodniczyła p. Józefa Szebeko, złożyła sprawozdanie za rok ubiegły. Akcja ich obejmuje zarówno teren krajowy, jak utrzymywanie możliwie ścisłej łączności z terenem zagranicznym. Spraw jest wiele: kwestja pracy zawodowej kobiet, praw cywilnych i politycznych, walki z handlem żywym towarem i z pornografią, opieka nad matką i dzieckiem, cały zakres zagadnień emigracyjnych, akcja na rzecz pokoju, opartego na poszanowaniu równych praw wszystkich narodów, — oto zagadnienia, wybijające się na plan pierwszy w r. ub.

Sekcja pracy zawodowej kobiet, na której czele w Radzie Narodowej polskiej stoi p. Wanda Ładzina, otrzymała w okresie sprawozdawczym specjalne podziękowanie Rady międzynarodowej za prace ankiętowe. Sekcja opracowała odpowiedź na 2 ankiety Rady międzynarodowej: jedną w sprawie płac minimalnych z wykazaniem na szczegółowych tablicach procentowego stosunku płac kobiet i młodocianych do płac mężczyzn we wszystkich działach przemysłu, drugą zaś w sprawie inspektorek pracy. Na ogólnym zebraniu Rady narodowej Polek zatwierdzono wniosek sekcji o wystąpienie rady w sprawie zwiększenia ilości inspektorek pracy i zrównania ich z inspektorami-mężczyznami w prawach służbowych wobec jednakowych wymagań, stawianych co do wykształcenia. (Inspektorki rozpoczynają pracę od 10-go stopnia i dochodzą tylko do 7-go, gdy inspektorzy otrzymują 8 lub 7 stopień służbowy i dochodzą do 5-go).

Sprawozdanie sekcji emigracyjnej złożyła przewodnicząca Rady Narodowej Polek, p. J. Szebeko, uwzględniając w niem szczególnie sprawę opieki nad emigrantkami i sezonowymi robotnicami rolnymi (jadącymi „na Saksy”),

ka na wykończenie pawilonu naukowy, co znów zależne będzie od ofiarności ogółu, która nie zawiedzie jak u nas zawsze. Tu zaznaczyć należy, że wielu fachowców przy budowie, wielu uczonych na zebraniach, dawalo swój czas i światło rady. Ale, że stworzeniem tej imponującej całości kierowała niestrudzona w pracy, niedosiężna w zapale i wytrwaniu doprowadzenia do skutku wielkiego dzieła, p. dr. Bronisława Dłuska.

Światowy Zjazd Harcererek odbędzie się w r. b. w Polsce. Przyjadą delegatki z Anglii, Francji, Irlandji, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Norwegji, Belgji, Jugosławji, Finlandji, Estonji, Danji, Egiptu i Południowej Afryki. Mimo ogólnie ciężkich warunków, 39 kandydatek już zapowiedziało swe uczestnictwo. Zjazd odbędzie się w harcerskiej szkole instruktorskiej na Buczu, Śląsku Cieszyńskim.

„W kraju Białego Orła”. Pod tym tytułem ukazał się artykuł p. Eli Megyery o Polsce, w czasopiśmie towarzystwa węgierskiego geografów: „Globus”. Autorka z entuzjazmem opisuje piękno naszego kraju, dając ilustracje z Warszawy, Górnego Śląska, Wieliczki, Częstochowy, Krakowa, Zakopanego, Dunajca — uzupełniając trafnymi spostrzeżeniami całość, pełną sympatji dla wstytkiego co w Polsce widziała.

Zjazd delegatek przysposobienia kobiet do obrony kraju odbył się w sali Rady Miejskiej, w pełnym powagi nastroju. Delegatki przybyły z całego kraju.

nad którymi mimo wszelkich wysiłków opieka wciąż jeszcze szwankuje.

Obecne stadjum akcji w dziedzinie walki z handlem żywym towarem zreferowała p. Marja Holder-Eggerowa, informując wyczerpująco o międzynarodowych zarządzeniach w tym zakresie i przebiegu narad genewskich.

Sekcja kinematograficzna przedstawiła sprawozdanie z narad w Rzymie. Referowała p. Lena Lipkowska.

Przewodnicząca sekcji oświatowej, p. Z. Iwaszkiewiczowa, dała zarys przeprowadzonych w r. ub. studjów nad poszczególnymi zagadnieniami oświatowo-wychowawczymi, informując o ciekawych systemach i organizacjach oświaty pozaszkolnej zagranicą.

Sekcja pokoju przedstawiła obszernie sprawozdanie, obejmujące też m. in. udział jej w stołecznym Komitecie stow. współpracujących na po'u utrzymania pokoju międzynarodowego przez poszanowanie traktatów międzynarodowych. Poza tem Rada przyjęła nowy program akcji, ciekawie konstruujący organizację wymiany informacji, mających na celu bliższe wzajemne poznanie się narodów w zakresie kultury, sztuki, krajoznawstwa, folkloru, historii. Referowała p. Ir. Pannenkowa.

Rada Narodowa Polek, dzięki podejmowanej tej nowej akcji, zwiększy znów swoją działalność i wzmocni jeszcze tę powagę, jaką zdobyła sobie na terenie międzynarodowym poprzednio przeprowadzonymi wystąpieniami

Polska Federacja kobiet z wykształceniem uniwersyteckim, opierając się na uchwałach walnego zebrania, wyłoniła komisję z pp. T. Mączkowskiej, E. Grochołskiej i M. Siemieńskiej dla organizacyjnego opracowania akcji gremjalnego protestu przeciw redukcjom kobiet pracujących.

Sprawa jest tembardziej paląca, że zaczyna zachodzić absurdalny objaw w stosunkach społecznych: kobiety są usuwane z zawodów, wymagających pracy umysłowej, a masowo przeciążane pracą fizyczną. Kobiety fizycznie pracujące utrzymają swoje zajęcia, będąc pracownicami tańszemi, niż mężczyźni, a przytem łatwiej dającymi się wyzyskiwać niesumiennym pracodawcom.

W dyskusji nad tą sprawą podniesiono w klubie m. in. kwestję rzadkiego uciekania się kobiet, zredukowanych w sposób nieprawidłowy (w terminie niezastrzeżonym, bez wynagrodzenia za wysługę lat i t. p.) do władz sądowych, jak to szeroko praktykowane jest w Niemczech.

Z innych spraw poszczególnych podniesiono konieczność wprowadzenia w życie zasady, że o redukcji winien decydować wyłącznie czynnik wartości pracy danej jednostki, a nie kwestja płci.

Dalej poruszono sprawę stosunków w szkolnictwie w związku ze słynną „ustawą celibatową” z 29 marca 1926 r. w sprawie rozwiązywania umów z nauczycielkami

z chwilą zawarcia przez nie małżeństwa — oraz w związku z równie słynnym okólnikiem ministerjum oświaty z 22 lutego r. b. w sprawie danych o urzędniczkach mężatkach. Zacytowano fakt, że na prowincję idą przeważnie siły kobiece, gdyż mężczyźni nie chcą „zagrzebywać się” nawet w jakimś Kutnie czy Łowiczu, nie mówiąc już o Kresach Wschodnich. W Instytucie pedagogicznym (koedukacyjnym) studjuje 36 kobiet i 1 mężczyzna.

W wyniku dyskusji uchwalono przyjąć zredagowany przez Komitet redakcyjny memoriał i po podpisaniu go przez zreszenia kobiece złożyć władzom państwowym.

Narodowa młodzież żeńska we Lwowie wydaje dwutygodnik pod tytułem „Ruch Kobiecy”. Nr. 2 pisma — zamieszcza między innymi artykuł o kobiecie w zawodzie lekarskim, sprawozdanie ze zjazdu lwowskiego oddziału polskiego stowarzyszenia kobiet z wyższem wykształceniem, przegląd międzynarodowy i kronikę bieżącą. Młodym koleżankom w pracy, redakcja nasza zasyła życzenie. Szczęść Boże!

R.

ŚLICZNA ZABAWA LIGI MORSKIEJ I KOLONJALNEJ UDAŁA SIĘ ŚWIETNIE !

Jeszcze nigdy park Łazienkowski nie był tak przepełniony publicznością, która na chwilę zbyła się wszelkiej troski i chętnie uczestniczyła we wszystkim, co dla niej przygotowali organizatorzy.

Parę tysięcy osób zapełniło stadion, na którym entuzjastycznie oklaskiwano młodych oficerów 1-go pułku szwoleżerów i artylerji zrosniętych, zda się, z koniem i biorących bez trudu wszystkie przeszkody.

Bilety loteryjne rozchodziły się szybko, bo piękne panie, przy stolikach, obiecywały pewne wygrane.

Dancing przed pałacem miał także wielu amatorów Orkiestry grały. Bufety były obłożone.

Ale, ponad wszystkim górowała zabawa dla dzieci.

Duży plac, koło pomarańczarni, zgromadził setki i setki naszej dziatwy. Muzyka przygrywała. Sprawni przewodnicy ze szkoły przygotowania fizycznego, objęli łaskawie ster zabawy. Chorągiewki dostawały dzieci w po-

darunku. Czapeczki marynarskie kupowały. Pochód do stawów, na których kołysały się łodzie, mknęły kajaki — udał się wysmienicie. Osiołki do jazdy były w obłęzeniu. Samochody małe, rozrywane. Śmiechu i uciechy co nie miara.

A w uroczym teatrze — na wyspie czarował wdziękiem, werwą i sztuką taneczną — nasz warszawski balet. W całej organizacji dopomagali dzielni nasi harcerze Pracowali przy kasach pracownicy tramwajów, Sekcja kobieca przy L. M. i K., także nie żałowała trudów. A wszystkim razem błogosławił Pan Bóg, bo pogoda była śliczna. A nazajutrz? Nazajutrz stwierdził zarząd Łazienek, że publiczność nasza już umie szanować dobro ogólne. Ani jeden trawnik nie był zdeptany, ani gałązka złamana, ani kwiat ścięty.

A przecież było dwadzieścia kilka tysięcy osób. Złożyły one chętnie dla Ligi Morskiej i Kolonjalnej grosze, z których na czysto zostało 10.000 złotych.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Drogię Młodzieży z Wejherowa. Dziękuję w swoim i p. Dr. Makowskiej imieniu za listy nad wszelki wyraz nam miłe; Miałyśmy dużo zajęć przy organizowaniu zabawy w parku Łazienkowskim na dochód Ligi Morskiej i Kolonjalnej, która się świetnie z pomocą Bożą, bo przy pięknej pogodzie — udała. Dlatego, dotąd nie wysłałyśmy listów. A opis wycieczki damy w następnym numerze „Rodziny”, do którego może i od Was kochane panienki już dostaną określone przez Was wrażenia.

Wszystkim serdeczne pozdrowienia zasyłamy.

P. Jadwidze Gud... w Puławach. Niestety, zawsze cenny dla nas artykuł Sz. pani o zdobieniu balkonów przyszedł za późno, bo już wtedy, kiedy numer się łamał. Miesięcznik zwłaszcza przy wielu innych wydawnictwach i przy uwzględnieniu wcześniejszego wysyłania go naszym Czytelnikom zamiejskim, a nawet — zaoceanowym, musi być wcześniej składany. Stąd i na treść mu imy pilnie baczyć, aby, zwłaszcza w dziedzinie porad sezonowych, nie być — po czasie. Prosimy zatem o następne artykuły zaraz z radami — na sierpień, wrzesień,

Zwłaszcza dwa pierwsze miesiące wymienione, radziłyśmy mieć w czerwcu. Potem są wycieczki letnie, teka redakcyjna musi mieć zapasy.

P. Wandzie Kołodz... w Lublinie. Różnych typów zapowiadane są wycieczki morskie: 4-0 dniowe, Wisłą do Tczewa; przez Płock, Włocławek, Toruń, Grudziądz, luksusowym parostatkiem, z całodziennem utrzymaniem w drodze, Gdyni i Helu. Wyjazdy z Warszawy w każdy czwartek wieczorem, powrót, w poniedziałek pociągiem pospiesznym. Cena 89 zł.

Inne 3-y dniowe koleją i morzem. A także 8-0 dniowe za bajecznie niską cenę zł. 70.

Wszelkie informacje daje Główny Zarząd Ligi Morskiej i Kolonjalnej, Warszawa Nowy-Świat 35. Tam więc kierujemy Szan. Panią, jeśli nasza odpowiedź nie będzie dostatecznym objaśnieniem.

P. Zofji Grodz... w Złoczowie. Wiele projektów łaskawa pani, ginie bez ich wykonania w danej chwili istotnie ciężkiej dla całego świata. Ale, najwięcej zachęcamy panią do pozna-

Bielizna biała jak śnieg

Przewaga Radionu nad innymi samopiorącymi środkami polega na tym, że nadaje białźnie śnieżno-biały połysk. Ale najważniejsze jest to, że pranie Radionem odbywa się bez żadnego wysiłku i obawy, że bielizna zostanie zniszczona. Radion usuwa brud bez tarcia i szcztokowania. Zwracajcie więc uwagę na nazwę Radion, a opłaci się Wam to z pewnością. Pranie Radionem jest bardzo łatwe.

RADION
sa chroni bieliznę

RP1-32

Wystarczy:

a rozpuścić w zimnej wodzie

b gotować 20 minut

c płókać w gorącej, potem w zimnej wodzie

nia cudnej Puszczy Białowieskiej, nie uważając, aby wydany na to pieniądz był „lekkomyślnością” jak to pani nazywa. Przeciwnie, uważamy, że na ten cel wydany grosz, sownie się wypłaci nabraniem zdrowia, odświeżeniem umysłu nowymi a silnymi wrażeniami, w tem wspaniałem Królestwie Bożem, w którym myśl zwraca się wzwyż, razem z paruset czy kilkuset lat liczącymi drzewami — bieży do Nieba i wraca ku ziemi lepsza o cały podziw dla dzieła Stwórcy. Więc, choć grosz skrzętnie z własnej pracy zbierany, to nie pójdzie w tym razie na marne, o czem się pani przekona po wycieczce do puszczy, prosimy o podzielenie z nami swych wrażeń.

P. Miłostawie Korz... w Łucku. „Czwórki Oświatowe”, p. Józefa Stemlera — dadzą pani doskonałe wskazania w sposobie zwalczania analfabetyzmu. Księgarnia Polska Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej, Warecka 15. Warszawa — wyśle pani cały szereg potrzebnych materiałów.

P. Marychnie Zaw... w Toruniu. Każda sztuka daje wiele rozkoszy. Więc choć pani twierdzi, że niema zdolności do muzyki, niech ani nie omija sposobności jej nauki, pozna pani technikę, wejdzie pani bliżej w piękną twórczość mistrzów, choćby pani sama dalej nie uprawiała gry — to skierowanie i wyrobienie wiedzy muzycznej — da pani potem w życiu całe szeregi najczystszych wzruszeń, jakie daje przy zbliżeniu się do niej każda sztuka.

P. Zosi Niepoh... w Zagrzebiu. Musimy najpierw dostać rękopis, bo dopiero wtedy możemy albo zachęcać do pracy w tym kierunku, albo poradzić coś innego. Za zaufanie dziękujemy. Każdy list naszych abonentek jest nam miły i zawsze chcemy ich mieć jak najwięcej.

P. M. K... w Suchorzewie. Bardzo wdzięczni jesteśmy za miły list Sz. pani. Do wskazań Jej zastosujemy się, prosząc o dalszą, bardzo nam cenną życzliwość.

P. Irenie Zubus... w Chojnicach. Bez radja, zwłaszcza na wsi, to już dziś, istotnie trudno się obejść. Jest to jednak wynalazek, który tak uprzystępnia wielostronne wiadomości o całym ruchu na świecie i umysłowym i praktycznym, że zważywszy tempo, jakim wszystko postępuje i rozwija się, nie można sobie odmówić instalacji małego aparatu, który przyniesie nieobliczoną ilość materiału myślowego. Jednorazowy większy wydatek wypłaci się całymi godzinami przyjemności i pożytecznych wiadomości z całego świata.

P. Marji Zalesz... w Dublinach. I małe i starsze dziecko znajdzie zawsze wiele interesującego materiału w piśmieku „Mały Apostoł”, a śliczne powiastki i opowiadania zajmą nawet młodzież starszą. Obfity w treść Nr. czerwcowy, jest do nabycia za 20 groszy. Prenumerata kosztuje tylko 2 złote rocznie. Adres redakcji. Krak.-Przedmieście 71. Warszawa.

KĄCIK DLA DZIECI

WISŁA DO MORZA.

Jak ja się cieszę, że jedziemy nad morze, nad nasze, polskie morze — mówiła Wandzia, pakując swe „skarby” do małej walizeczki. Ach! Tak — wykrzyknął Krzyś — i zobaczymy prawdziwe okręty i polskich marynarzy. Ale przecież w tej wiosce rybackiej, do której jedziemy, niema okrętów — zasepiła się Wandzia. Ach, jak ty nie pamiętasz — niecierpliwił się Krzyś, przecież mówiła mamusia, że pojedziemy zwiedzić Gdynię, nasz polski port. Jak ja się cieszę! — klasnęła w rączki Wandzia, takbym chciała płynąć na prawdziwym okręcie! W tej chwili wszedł tatuś, uśmiechnął się, usłyszawszy rozmowę dzieci i powiedział: Prędzej niż myślisz, córeczko, spełni się twe pragnienie, wprawdzie nie okrętem, ale zamiast kolejną — pojedziemy prawdziwym statkiem. Zanieś nas szara Wisiełka do Torunia, obejrzymy to piękne miasto, przenocujemy u cioci Maryni, a potem już tylko parę godzin pociągiem do morza. Tatusiu! Dziękujemy! — wykrzyknęli Krzyś i Wandzia.

Późny już był wieczór, gdy rodzice z dziećmi przybyli na przystań wiślaną. Dzieciom spać się chciało, więc nie bardzo się rozglądali wokoło. Weszli na pokład, potem mamusia sprowadziła ich po wąskich schodkach na dół statku, do śmiesznego pokoiku, podobnego do sleepingu w pociągu; mamusia powiedziała, że się to nazywa kajuta. Rozebrali się, paciorek zmówili i ledwo przyłożyli główki do poduszek sen skleił im powieki. Spali tak mocno, że gdy się obudzili, to sami nie wiedzieli, gdzie się znajdują. Czuli lekkie kołysanie, przez śmieszne okrągłe okienko zaglądały wesołe promienie słońca i widać było wodę. Rozglądali się zbierając myśli, wtem odezwał się wesoły głos tatusia: A wy małe śpiochy, wstawajcie! już dojeżdżamy do Płocka! — Prawda, wszak są na statku! Wskoczyli szybko z łódeczek, ubrali się, zjedli śniadanie i wybiegli na pokład właśnie w chwili, gdy statek przybijał do przystani w Płocku. Mamy niecałe dwie godziny czasu — powiedział tatuś — więc skorzystamy z tego, by choć zobaczyć katedrę w Płocku, jeden z najstarszych kościołów w Polsce, wzniesiony prawdopodobnie za Kazimierza Odnowiciela. — Gdy wysiadali, Wandzia trochę się bała, żeby ten mostek, łączący brzeg ze statkiem się nie obsunął, ale wstydziła się przyznać, że taki z niej tchórzek, więc tylko mocno, mocno trzymała mamusię za rękę. Po drodze opowiadał im tatuś, jakie to stare miasto ten Płock, jakie było ludne, bogate, jak królowie polscy chętnie w niem przebywali i nadaniami go obdarzali, jak dopiero po najeździe szwedzkim i strasznej zarazie, która nawiedziła miasto — podupadło. Katedra budowana w kształcie krzyża z pięknym starym obrazem w ołtarzu i kaplicą, gdzie leżą królowie polscy: Władysław Herman i Bolesław Krzywousty,

— zachwyciła dzieci, a najbardziej podobała się im starożytna baszta, pozostała z dawnego zamku a służąca obecnie za dzwonnice. Zajęło im to tyle czasu, że już na dalsze zwiedzanie nie starczyło... Słicznie było na statku, słońeczko świeciło wesoło, po szafirowym niebie goniły się obłoczki, statek pruł łagodnie wody Wisły, małe fale uciekały z pluskiem przed jego dziobem, połykując w słońcu. Dzieci stały zapatrzone w umykające brzegi, wykrzykując radośnie, by zwrócić uwagę rodziców na coś zaciekawiającego je. A potem wzięły się za rączki i śpiewały o tej Wiśle, co płynie po polskiej krainie... Tak im prędko czas zbiegł, że ani spostrzegły, gdy już przybijali do przystani w Toruniu, gdzie oczekiwała ich ciocia Marynia. Po serdecznych powitaniach, pojechali wszyscy do cioci na obiad. Nie mogły dzieci doczekać końca obiadu, by iść zwiedzać miasto. Nareszcie wyruszyli wszyscy. Najpierw poszli do starożytnego kościoła N. P. Marji, gdzie leży siostra króla Zygmunta III, Anna Wazówna — botaniczka polska, potem do pięknego starego ratusza, gdzie wiszą portrety królów polskich i Stefana Czarneckiego. Potem widzieli wspaniały pomnik Kopernika, a potem domek, w którym ten wielki uczony się urodził. I jeszcze kościół św. Jakóba i piękny park, aż wkońcu zaczęło się im w główkach kręcić. Zauważyła to ciocia Marynia i powiedziała: — pokrzepiłyśmy umysł, pokrzepmy i ciało — i zaprosiła dzieci do cukierni na lody. Wandzia i Krzyś tak byli odurzeni mocą wrażeń, że na drugi dzień nie mogli sobie przypomnieć jak się znaleźli w łódeczkach poprzedniego wieczoru. Dalszą część drogi przebyli kolejną i wreszcie znaleźli się nad morzem.

Stanęli nad brzegiem. Cudne było to morze. Daleki bezmiar wód mienił się zielenią w blaskach słońca, małe fale podpływały z pluskiem do brzegu i kładły się pianą białą na piasku złocistym szepczą cicho: — witajcie dzieci na polskim wybrzeżu. — Czasem ryba plusnęła w głębi, czasem pod niebem błękitnem zabłyśła białem skrzydłem mewa. Stały dzieci bez tchu w piersi, patrząc i natrzeć się nie mogąc — morzu. W tem w dali zamaczał punkt jakiś i przybliżać się jął z warkotem. Motorówka — powiedziała mamusia. Tak, to była motorówka. Po chwili przybiła do brzegu, a z niej wyskoczyło na piasek nadbrzeżny dwóch marynarzy. Polscy marynarze — zawołał Krzyś. Wujek Janek! — wykrzyknęła Wandzia. Tak to był wujek Janek, brat mamusi, który służył w marynarce i przyjechał powitać przybyszów. Odjeżdżając, obiecał dzieciom, że przyjedzie niedługo i zabierze je na okręt.

A co dzieci widziały na polskim okręcie opowiem innym razem.

H. Rostańska-Choynowska.

S E N S T A C H A

*Jedzie, jedzie na koniku
Mały Stach. —
Dziwują się, Jola, Jadzia:
Ach, ach, ach.*

*Jaki Stasio ma rycerski,
Pewny ruch.
Jak popęda śmiało konia;
Zuch, zuch, zuch.*

*A jaskółka, co się w słonku
Uwija nad niemi:
Ej, Ostrożnie Stachu — ćwierka —
Znajdziesz się na ziemi. H. R. Ch.*

Rozrywki Umysłowe

pod kierownictwem Warsz. Klubu Szaradziśtów.

TRZECI KONKURS KWARTALNY.

Po ukończeniu w czerwcowym numerze II Konkursu kwartalnego, przystępujemy obecnie do następnego, pod zmienionymi warunkami.

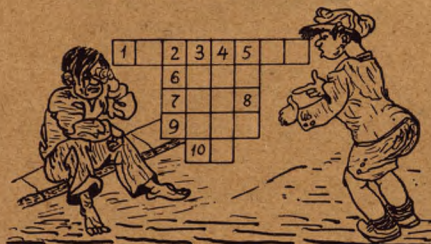
Termin nadsyłania rozwiązań z każdego numeru *trzytygodniowy*, licząc od daty otrzymania tegoż.

1. SZARADA (5 pkt.).

Zylibyśmy w swojej
ojczyźnie bez troski,
Bo czy mało mamy
bogactwa przyrody:
Łany, lasy, wody,
góry, — toć dar Boski!
Lecz brak nam niestety,
bratniej z sobą zgody...
Natura szlachetna,
szczerza i pięć-szósta
Nie każdego zdoła
na tym tu padole...
Ci, którzy ją mają —
siedem-ośm ich usta,
Bo i cóż poradzą
na zło w błędnem kole?
Pierwsze-trzecie-szóste
nas do swej Ojczyzny
Miłość wielką, szczerą, —
ale brak Jej synów
Szlachetnego serca,
brak ducha ężyzny, —
A już nadewszystko
brak cnych, dobrych czynów.
O sto *siódmych* dzieła
nas zdania, nadzieje, —
A tymczasem działa
wywrotowców ręka!
W uszach nam *dwa=ósme*
słowa: „źle się dzieje!”
A tymczasem wróg nasz,
groźną bronią szczęka...
Raz pracy są ludzie,
którzy się nie rządzą
Sumieniem, etyką, —
tego się nie wstydzą...
A choć dobrze wiedzą,
że zło czyniąc — błędzą, —
Udają, że skutków
złych wcale nie widzą...
Od dwa i trzeciego
młotów, co „budują”,
Gmach Ojczyzny naszej —
aż nam puchną uszy,
Jak od strasznych *czwartych*,
którymi mordują
Ludzi, — tak się wszystko
w beładzie tym kruszy.
Prawda — że w przyrodę
bogaci jesteśmy, —
Szkoda — że nie mamy
więcej bogactw duszy...

Więc błagalnie oczy
swe do Niebios wnieśmy
O tę bratnią zgodę, —
niech nam serca wzruszy.
L. Ciesielski *czł. Kl. Sz.*

2. ŁAMIGŁÓWKA (2 pkt.)



Znaleźć cztery litery alfabetu i wpisać je w kratki podanej figury, powtarzając je odpowiednią ilość razy, tak aby utworzyły się wyrazy o następującym znaczeniu:

Poziamo: 1. przyrząd do oświetlania; 3. roślina zwrotnikowa; 6. imię żeńskie (lub rzeka na Krymie); 7. plan geograficzny; 9. imię żeńskie wspan; 10 rzeka (dopływ Bałtyku).

Pionowo: 2. członek rodziny zdrobniale; 3. ślad zabrudzenia; 4. rodzaj lampy; 5. ton muzyczny; 8 rzeka.

(Wyrazy 1, 3, 4, = czteroliterowe, 5, 8, 10, = dwuliterowe.)

A. Mieczkowski.

3. ZAGADKI (po 1 pkt.).

- Choć jedno mam tylko oko —
Lecz nie widzę, ani płaczę,
Na górze rosnę wysoko,
A na wspank to samo znacze.
- Malarz pędzlem po nim suwa,
Lub nad nami w górze czuwa.
- Czy tak czy wspank, — jedno znaczy,
Bo... „nie wolno” jest inaczej!
M. Waksmundska *czł. Kl. Sz.*

4. DODAWANKA (3 pkt.).

A (—B) + C (—D) + E (—F) +
G (—H) + I (—J) = rozwiązanie.

Objaśnienie wyrazów:

- A = Tem mianem sławny się pieści,
B = To „tura” — szpik w niej się mieści,
C = Pieszczotę tak nazywamy,
D = Zaś nabiał na wspank czytamy,
E = Ozdoba głowy Chińczyka,
F = Kareta — lub niby bryka,
G = Na wojnie ulana wspiera,
H = Każdy ją sufit zawiera,
I = W niej rzeczy wspank układamy,
J = To imię niemieckiej damy.

Por. E. Kreyser *czł. Kl. Sz.*

ROZWIĄZANIA ZADAŃ IV KONK. KWARTALNEGO 1931.

Umieszczonych w numerach 10, 11 i 12 „Rodziny Polskiej”.

1. ŁAMIGŁÓWKA.

Dobra psu i mucha. (Znaczenie rebuśników): 1. ganek + do = dekaon; 2. c, e, e, + br. = ceber; 3. karcz + ap = czaprak; 4. drut + su = surdut; 5. Pol + im = Olimp; 6. pal + u = lupa; 7. wole + cha = cholewa.)

2. LOGOGRYF.

Memento mori. (Wyrazy: pomny, nieba, dumny, pieśń, ponęt, tytuł, zgonu, pomoc, chowa, porze, ścian.)

3. ŁAMIGŁÓWKA.

St. Żeromski: Wierna rzeka. Między-morze. (Wyrazy: włos, szum; Iset, tani; eon, lżę; żubr wsp., żołąd; nice, Efez; ajer, rady; runo, olim; złom, myto; Eros, ster; kark, koczk; algi, Iwje.)

4. SZARADA.

Licho kusi ludzi do zlego.

Ogólna ilość punktów możliwych do zdobycia wynosi: 19.

Lista uczestników z podaniem ilości zdobytych punktów:

Adamikówna Alina, Warszawa (9), „Alila”, Warszawa (19), Bieńkowski Bohdan, Lublin (19), Bilik Jerzy, Warszawa (12), Blichlau Julja, Pułtusk (5), Borek Klementyna (7), Denasiewicz Kazimierz, Drohobycz (19), Ikanowicz Bolesław, Wołkowsk (5), Jastrzębska Zofja, Warszawa (19), Kabar Sz., Wilno (12), Kaczyńska Miła, Stebnik (16), Klimeczak Roman, Warszawa (19), Klimczakowa Janina, Warszawa (19), Kłodziński Władysław (7), Kobza Jan, Susze (12), Kozłowski Czesław, Warszawa (19), Kozłowski N. Kazimierz, Warszawa (19), Kwaśnicki R., Warszawa (12), Kwiekowa Jadwiga, Dobrzelin (19), Laban Maryla, Warszawa (7), Leśniewska Helena, Odrowąż (19), Ławruszonisówna St., Warszawa (19), Łopat, to Jerzy, Warszawa (19), Małkisz B., Zawadów (7), „Maryśka z Pohulanki” (19), Mikowska Stanisława, Warszawa (19), Inż. Modrzejewski Józef, Lublin (19), Mokrzycka Helena, Drohobycz (19), Nowicka Lilka, Płock (5), Drowa Opiełińska Helena, Środa (7), Pieracki Zygmunt, Wilno (12), Poroch E., Sielce (5).

(C. d. w numerze następnym.)

SKRZYŃKA POCZTOWA.

W. P. Stan. Bogatkowa, Toruń. Miło nam powitać w nowym prenumeratore także zwolenniczkę naszego działu, — oby tylko na stałe... Rozwiązania dobre i na czas otrzymane.

W. P. A. Mieczkowski, Wilno. Poszło... z drobnymi poprawkami — dla ułatwienia. Podobne zadania muszą być jednak koniecznie rysunkowo tuszem wykonane. Dalsze zadania otrzymaliśmy również, — na przyszłość prosimy jednak rozwiązania i zadania nadsyłać na kartkach oddzielnych.

W. P. Hanka Kozł. Warszawa. Z miłą chęcią opóźnienie uwzględniamy, oraz cieszymy się z szybkiego wyzdrowienia Sz. Pani.

Miłośnikom „Rozrywek Umysłowych” polecamy gorąco działły rozrywkowe przez członków Klubu Szar. prowadzone, mianowicie w warszawskich: miesięczniku „Echa Leśne”, ty-

godniku „Ra”, i dwutygodniku „Rara Avis”, — oraz w poczytnych dziennikach „Słowo Polskie” we Lwowie i „Głos Lubelski” w Lublinie.

M. St.

Rozwiązania rysunkowe p. N. K. Kozłowskiego z Warszawy.

GANEK	CEE	KARCZ	DRUT	POL	PAL	WOLE
DEKAGON	CEBER	CZAPRAK	SURDUT	OLIMP	LUPA	CHOLEWA
DO	BR	AP	SU	IM	U	CHA

ZE ŚWIATA RADJA

POCHÓD RADJOFONJI ŚWIATOWEJ: 1926—1931.

Pozycja polska wzrosła 7-miokrotnie.

W głównej kwaterze Radjowej Ligi Narodów w Genewie, opracowano w tym roku „Wielką Kartę”: Wprawdzie podobne „Karty” wydaje Międzynarodowy Związek Radjofoniczny co rok, ale karta tegoroczna różni się od poprzednich rozmiarami i układem treści. Jest to pracownie ułożone sprawozdanie za lata: 1926—1931 — rozwoju radjofonji światowej, podające główne składniki rozwojowe, a więc: stan liczbowy radjostacji nadawczych, wzrost mocy kilowatów, dynamikę radjostłuchaczy i abonentów, wreszcie niektóre, stwierdzone cyfry przemysłu radjotechnicznego. Jest to niejako „Spis Ludności Radjowej” z podaniem ważniejszych szczegółów, dających pełny obraz rozwoju w tej dziedzinie.

Wykres genewski ma jeszcze jedno znaczenie wagi szczególnej: zjawia się mianowicie na kilka miesięcy przed zwołaniem kolejnej Międzynarodowej Konferencji Radjotelegraficznej do Madrytu. Daje więc temu Zjazdowi materiał wyjątkowo obfity, usystematyzowany, a ponadto obrazujący sytuację z roku 1926, a więc poprzedzającego Światową Konferencję Radjofoniczną w Waszyngtonie, odbytą w r. 1927.

Plan genewski podaje liczby zebrane w 55-ciu krajach radjowych. Nie wielu jednak poświęca obszerniejsze uwagi; czyni to przeważnie w odniesieniu do krajów, gdzie rozwój radjofonji ma kontury wyraźniejsze, wyróżnia się zdobyczami na polu techniki, poziomu artystycznego swych programów, lub wyróżnia się tempem i rozmachem rozwojowym.

Wybieramy z tych uwag i cyfr najbardziej nas obchodzące i najcharakterystyczniejsze. A więc w rozdziale traktującym o Polsce „wielka karta genewska” mówi m. in.:

„Polsce przybyło w roku 1931 zgórą 60.000 słuchaczy radjowych. Jest to największy przyrost roczny w tym kraju od lat 5-ciu, a więc od roku 1927. Liczba słuchaczy radjowych w Polsce wzrosła 7-miokrotnie w stosunku do tego, co było w roku 1926, gdy zawiązywano organizację p. n.: „Polskie Radio”. Przyrost abonentów radjowych w Polsce, w warunkach tamtejszych, jest objawem pocieszającym. Procentowy stosunek liczby abonentów do liczby mieszkańców kraju, przedstawiał się w końcu roku 1931 niemal jak 1:100. Ten stosunek liczbowy abonentów do ludności w Polsce, odpowiada z dużą dokładnością stosunkom w tej samej dziedzinie w Wolnym Państwie Irlandzkim. Podobieństwo odnieść można również i do strony technicznej: okazuje się, że Dublin, stolica Irlandji, będzie miał jeszcze w tym roku radjostację nadawczą prawie tej samej mocy, co radjostacja w Raszynie, Dublin gotów będzie na Kongres Eucharystyczny, to znaczy latem r. b. Trzeba jeszcze

przyznać, że po wielkiej radjostacji polskiej w Raszynie, oczekuje się w świecie radjowym znacznego wzrostu liczby abonentów, zahamowanego jedynie przejściowo, zaostreniem się kryzysu gospodarczego w kraju.

Wykres genewski oblicza ludność Polski na 32.030.000 dusz w grudniu 1931. Liczbę abonentów radjowych zamyka w tym samym czasie cyfrą 310.214. W grudniu roku 1926 figuruje w tej samej rubryce polskiej wykresu genewskiego pozycja 46.114. Z zestawienia tych pozycji wynika istotnie przyrost prawie — 7-miokrotny.

Zestawienie genewskie nie może, niestety, podać pewnej cyfry radjostłuchaczy w Stanach Zjednoczonych. Dane genewskie opierają się raczej na cyfrach statystyki amerykańskiego przemysłu radjotechnicznego; podają one stosunek procentowy odbiorników radjowych wypuszczonych na rynek, do ogółu mieszkańców, prawie jak 134:1000. Wynikałoby stad, że w końcu roku 1931, Stany Zjednoczone miały pokaźny procent radjostłuchaczy, bo 13,39 na każdą setkę mieszkańców. Najwyższy stosunek procentowy w świecie! Jednak po pewnej rektyfikacji statystyki przemysłowej, Genewa podaje, że ludność Stanów Zjednoczonych wynosiła 31/XII. 1931 r. — 122.918.598 osób, a przypuszczalna liczba radjostłuchaczy — 12.078.345, co wynosi niecałe 9,9%.

Okazuje się więc, że Ameryka stoi na 2-miejscu. Prymat nie tylko w Europie, ale w całym świecie radjowym dźierży nadal państwo duńskie.

* * *

Miłosierdzie łódzkich radjostłuchaczy.

Radjo nie tylko przynosi swoim słuchaczom wielostronnie urozmaiconą rozrywkę, nie tylko wyrabia ich muzykalność i kształci umysły. Radjo kształci również serca.

Na każdym kroku spotykamy coraz liczniejsze tego dowody. Każda „skrzyneczka pocztowa” zawiera w pewnych okresach lub nawet w formie stałej dział ofiar radjostłuchaczy na różne cele miłosierdzia. Słynie z tego rozgłośnia lwowska P. Radja, gdzie ks. M. Rękas zainicjował radjową opiekę nad ubogimi chorymi. Wiele dobrego przyniosła cierpiącej ludzkości katowicka „skrzyneczka” „Papy Stephana”. Na specjalną uwagę zasługuje również akcja łódzkiej „skrzynki pocztowej P. Radja”, która doprowadziła ostatnio do powstania stowarzyszenia pod nazwą „Łódzka Rodzina Radjowa”.

Już w pierwszych miesiącach istnienia rozgłośni łódzkiej jej „skrzyneczka” wystąpiła z apelem o składanie ofiar na radjo dla najuboższych, na powodzian wileńskich, na biedne dzieci i t. p. Mniej więcej rok temu, zetknąwszy się bliżej na gruncie miejscowym z ogromną niedolą dzie-

ci ociemniałych, zaczęła „skrzyneczka” propagować wśród swoich słuchaczy myśl stworzenia trwałych podstaw pod stałą pomoc dla tych dzieci. Apeł ten nie przeszedł bez echa. Mimo kryzysu, który może specjalnie dał się Łodzi we znaki, posypały się coraz liczniejsze ofiary, przyczem najwięcej zapala i przekonania okazały w tym kierunku warstwy robotnicze. Doszło do tego, że przy zakładach przemysłowych i innych powstały specjalne komitety, zajmujące się zbieraniem ofiar. Nadsyłał je nawet najbiedniejszy z biednych — bezrobotni. Młodzież szkolna wyrzekała się kina i tramwajów, przeznaczając w ten sposób zdobyte drobne oszczędności na pomoc dla swych ociemniałych rówieśników. Z czasem akcja ta przybrała tak wielkie rozmiary, że łódzka „Skrzynka pocztowa P. Radja” uznała za wskazane rzucenie inicjatywy w kierunku utworzenia specjalnej organizacji radjostłuchaczy. Organizacja ta pod nazwą „Łódzka Rodzina Radjowa” w myśl intencji projektodawcy mieć będzie na celu nie tylko akcję dobroczynną, lecz jednocześnie stać się na serdecznym łącznikiem między ogółem radjostłuchaczy, co zwłaszcza w czasach dzisiejszych bezwzględnie posiada wielkie znaczenie moralne.

Niedawno odbyło się organizacyjne zebranie tego stowarzyszenia, gromadząc z górą 1000 jego członków-zalożycieli. Zebranie to cechował najszerzszy entuzjazm do samej akcji oraz do jej radjowych inicjatorów. Gorącymi oklaskami powitali zebrani list naczelnego dyrektora Polskiego Radja, dra. Zygmunta Chamca, który, życząc zebraniu pomysłnych obrad, podkreślił w zakończeniu, że specjalną radością przyjmuje dyrekcja i pracowników Polskiego Radja fakt, że fale radjowe, wypromieniowane przez anteny Rozgłośni Łódzkiej, odegrały w tym wypadku rolę cementu, łączącego przedstawicieli różnych narodowości, wyznań i zawodów w zbiorowej i wytrwałej akcji niesienia pomocy cierpiącym bliźnim. Serdeczne przyjęcie zgótowano również popularnemu kierownikowi rozgłośni, p. Henrykowi Tokarczykowi, powołując jednocześnie redaktora „Skrzynki” na stanowisko dożywotniego honorowego członka zarządu.

Zarówno przy uchwalaniu statutu jak i podczas wyboru władz stowarzyszenia, zebrani okazali najzupełniejszą jednomyślność, co bezwzględnie wroży jak najlepiej o dalszym pięknym rozwoju „Łódzkiej Rodziny Radjowej”.

W chwili obecnej radjostłuchacze łódzcy otaczają swą opieką Internat dla dzieci ociemniałych przy Szkole Specjalnej, mając zamiar w miarę dalszego rozwoju akcji przystąpić do budowy pierwszego w Łodzi, a siódmego w całym kraju zakładu dla ociemniałych.